Nr. 11. Lwów, dnia 25. listopada 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Kynegetika.

Napisał Władysław Spausta.

III.

Pies łowiecki w XVI. wieku. — Broń palna. — Rej. — Kulminacyjny punkt hodowli. — Nowe zawody i rasy psów. — Dzieło Cygańskiego. — Bielawski. — Lecznictwo psie.

Jakkolwiek wiele czynników kulturnych złożyło się na spadek raptowny wartości psa łowieckiego, co się w prawodawstwie XVI. wieku ujawnia, to przecież z jednej strony wielka rozmnoża psów łowieckich, wśród ogólnie praktykowanej hodowli tychże, z drugiej zaś rozpowszechnienie się u schyłku XVI. wieku broni palnej w łowiectwie bodaj grubego zwierza, przyczyniły się przedewszystkiem do tego raptownego obniżenia wartości.

Broń palna, już w XV. wieku w boju używana, przez długi czas pozostawała w kształtach nie nadających się do łowiectwa. Arkebuzy czyli pułhaki na podstawkach, ważące do 50 klgr., wyrzucające kule do 125 gr. wagi, a zapalane lontem, dawały wprawdzie człowiekowi przyjemność strzału, ale „Pan Bóg kule nosił“. Że taka maszynerya nie nadawała się bardzo do strzałów myśliwskich, nie podlega wątpliwości, ale przecież próbowano jej używać, jak to wskazują sceny myśliwskie, rytowane przez Josta Amana około r. 1580. Są tam i kusze i arkebuzy.

Pierwsze skałkówki wynaleziono w r. 1517. Był to przyrząd również bardzo komplikowany; sprężyną poruszane zębate kółko trąc po krzemieniu dobywało iskrę i zapalało proch. Maszynerya ta psuła się łatwo, stąd też nie mogła sobie i ta broń zjednać znaczenia w myśliwstwie. Dopiero w 1640 r. skonstruowano we Francyi pierwszy zamek skałkowy w tym systemie, jaki się utrzymał aż do XIX. wieku.

W każdym razie tak strzelby jakoteż amunicya były początkowo niesłychanie drogie i nieprzystępne dla ogółu, a patrząc dziś na te cacka przedziwnego przepychu i gustu, które do naszych czasów po zbrojowniach i muzeach się utrzymały, widzimy dosadnio, że broń taka tylko dla bardzo zamożnych była wyrabianą, i nie należała w XVI. w. do zwykłych potrzeb myśliwego. Nie sądzę przeto, abym popełnił wielką pomyłkę, utrzymując, że w wieku XVI. broń palna wyjątkowo tylko na grubą zwierzynę używana była, drobną zaś łowiono w sposób dawniejszy, tem pewniej, że wynalazek śrutu, który się u nas „siekańcem“ rozpoczął, odnieść należy do wieku XVII., kiedy już weszły w życie lepsze rusznice skałkowe. Dziełko Cygańskiego ze schyłku XVI. wieku, w którym użycie rusznicy w myśliwstwie ptaszem jest bardzo podrzędne, stanowi ważną wskazówkę, że

wiek XVI. wcale strzałów śrutowych nie znał. Inaczej nie znajdowalibyśmy u Cygańskiego tak mozolnych i awanturniczych sposobów łowiectwa ptaszego, a tylko bardzo wyjątkowe wzmianki o rusznicy, i to tylko na grube ptactwo, n. p. łabędzie, których w ostatecznym razie i kulą dostać było można.

Zgodne z mojemi kombinacyami w czasie wejścia w życie śrutu znajduję podania Łucyana Siemieńskiego w artykule o starożytnem myśliwstwie. (Przewodnik myśliwca Poznań 1848). Kasper Miaskowski, żyjący w 1549—1622 (Herkules słowiański str. 217.), mówi o drobnym szlachcicu, który „bądź sidłami na drzewie, bądź okrągłym ołowiem w siarczystym płomieniu zbierał ptactwo.“ Niewyraźne to określenie każe się domyślać, że jest tu mowa o strzałach śrutowych, i kto wie czy nie jest to pierwsza o tem w piśmiennictwie naszem wiadomość.

Podobnie jak nasi autorowie, milczą i Niemcy w czasie o wiele późniejszym o użyciu palnej broni w myśliwstwie. Bremer w swem dziele *„Fürstliche Jägerbuch“* (Hamburg 1657) ani słówkiem o tem nie wspomina. Czyżby radca legacyjny polskiego króla Władysława IV., nic o broni palnej nie wiedział? Raczej ogólne to milczenie o tak ważnym wynalazku dla praktyki myśliwskiej w literaturze fachowej XVI. i XVII. wieku przypisać należy okoliczności, że broń palna, tyle niebezpieczna dla łowiectwa możnych — podawała bowiem byle komu sposób wykonywania łowiectwa bez kosztownych przyborów, na jakie tylko możnych stać było — budziła niechęć klas majętnych, pod których opieką po większej części dzieła o łowiectwie były wydawane. Z umysłu tedy pomijano milczeniem ten nowy wynalazek. Jeżeli w całej Europie drakońskich używano sposobów do utrzymania się w wyłącznem prawie łowiectwa, jeżeli prześcigano się nawzajem w wykonaniu tych praw w kołach możnych, to łatwo pojąć, że musiano nienawistnem okiem spoglądać na wynalazek, niwelujący możność łowiecką do niższego poziomu warstw uboższych. Bez silnych psów, bez drogich przyborów, zaparte były uboższym wrota do łowiectwa na grubego zwierza, tymczasem broń palna byle jaka otwierała powabne drogi i nieuprawnionym. A musiano dobrze po puszczach gospodarować, jeżeli współczesne prawa przepełnione są rygorami na nieprawnie polujących, i już w 1538 roku pojawia się w statucie litewskim wprost zakaz noszenia broni palnej udającym się do lasu.

We wszystkich wydaniach statutu litewskiego używanym jest wyraz „strzelba“ na oznaczenie broni. I tak w rozdz. XIII. art. III. 1-go wydania czytamy „...nie biorąc żadnej strzelby, którą może zwierza zabić.“ Zdawaćby się mogło, że przez to określenie należy rozumieć broń myśliwską wogóle, zatem i łuk i kuszę, gdybyśmy w innych piśmiennych pomnikach XVI. wieku nie mieli wyjaśnienia, w jakiem znaczeniu wyraz ten podówczas był używany. Tomasz Bielawski w swym rymowanym utworze „Myśliwiec“, (Kraków 1595) uważa, że: „oszczep, sieć, pies, kij dobry, mysiowi do rzeczy“, a tylko o reszcie grubej zwierzyny więcej się z szacunkiem wyraża: „wielkie te zwierzęta król polski strzelbą bierze“. (Obrot VII.) Choćby te kilka słów Bielawskiego określają, w jakim celu i wypadku broń palna używaną była podówczas w wielkich łowach; inne zaś wzmianki współczesnych każą się domyślać, że broń palna pierwiastkowo, pomimo że była drogą, właśnie szerzyła się wśród klas uboższych. Choćby najdroższa strzelba, była jeszcze tańszą niż utrzymanie złai psów i odpowiednich przyborów ówczesnego łowiectwa. Pośrednią zaś wskazówką czasu, w którym broń palna poczęła już odgrywać wybitniejszą rolę w łowiectwie, jest spadek raptowny ceny psów łowieckich, jaki znajdujemy pomiędzy pierwszem wydaniem statutu litewskiego w r. 1538, a wydaniem III em w r. 1588. Cena psa legawego spadła w tem pięćdziesięcioleciu z 526 na 42 złotych.

Mimo jednak wyjątkowego użycia broni palnej, pies pozostał przez cały wiek XVI. główną forsą, na której się wogóle większe łowiectwo opierało. Cena psów krajowych spadała, a z rozmaitych krajów dalekich sprowadzano znów nowe rasy za bardzo drogie pieniądze. Napływają psy z Włoch, z Anglii, Francyi i Niemiec, importowano charty z głębokich stepów tatarskich, bo licznego sukursu potrzebywały te krocie psiarń, jakie w całym kraju już nietylko na dworach magnatów, ale na byle trochę tantniejszym dworze szlacheckim utrzymywano. Coraz większa na tem polu panowała przesada, rujnując już nietylko zwierzostany, ale podkopując do spółki z innymi czynnikami dobrobyt ziemianina.

Gdy milkły bojowe surmy — wnet nową muzyką grały polskie knieje. Od puszczy do puszczy niósł wiatr odgłosy rogów, cukrowały piękne chwile donośnym głosem złaje piesków, a świetne łowy polskiego pana rozbudzały ogólny podziw. Mierny szlachetka nie pozostawał także w domu, zabierał swe pieski, siateczkę, kobuzka czy krogulaszka i na uroczem tle natury słała się sielanka życia, której tak smaczny obrazek pozostawił nam niezrównany opowiadacz życia szlacheckiego: „Z charty się przejechać, na cietrzewia sieć zastawić, kuropatwiczkę rozsiadem przykryć, a przejeździwszy się i obłowiwszy, do domu przyjechać, ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potrawiczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie miasto karaśków pływają“. (M. Rej, Żywot człowieka poczciwego wyd. Tur. str. 235.) Aż ślinka zbiega czytając po 300 latach opis Eldorada na ziemi.

Gdy psiemi głosy grała cała kraina, to i biedny zagonowy szlachcic i chłopek nie mógł być na to wszystko obojętnym — wszak to wszystko z jednej kości i z jednej krwi ulepione. „Nie mając sposobności i czasu przy pracy ziemiańskiej, bodaj w święto po nabożeństwie, po jednym lub po paru gończaków utrzymując, za zającem się puszczali“. (Stanisław Strojnowski w przedmowie do dziełka „Opisanie porządku stanowego“ 1609). Naturalnie, że do takich łowów z jednym lub parą gończakami niezbędną już była broń palna.

Hodowla psów łowieckich, wobec powszechnego zainteresowania się psiarnią, stanęła na niebywałych dotąd wyżynach. Nie tyle z potrzeby ile dla mody pojawiają się już za Zygmunta Starego całkiem nowe rasy w psiarniach dworskich i magnackich, a przechodzą wnet i do psiarń szlacheckich. Podczas gdy uboższa szlachta do łowów ptaszych z siecią, krogulcem i psem używa dawnych wyżłów w sposób, jak to przedstawia doskonale Cygański, w sokolnictwie możnych klas wchodzą w modę rozmaite odmiany zagraniczne psów legawych. Brytany angielskie *(Dogues d' Angleterre)*, u nas później „pijawkami“ zwane, mieszają się z dawnymi psami drążkowymi lub „chodzą za panem z dzwonkami na szyi i złotą obrożą“. (Maciejowski, Polska, III., 305). Szlachcic znów „czy modły składa, czy Tatarów gromi, ma przy sobie psa, który go nieraz ratuje w nieszczęściu“. (Rej, Żywot człow. pocz. p. 18.), lecz niemniej dokładnie i innego rodzaju wykonuje usługę, gdy pan jego — zanadto uczciwszy Bachusa —

„...nie dba o czeladź by mu wody dali,
Już mu dawno pieskowie gębę ulizali.“ (Rej).

W roku 1580 sprowadzono do psiarń królewskich psy toskańskie. Co to była za rasa, odgadnąć trudno, z równoczesnych jednak wzmianek w rachunkach dworskich o oponach dla psów, wolno się domyśleć, że opony te służyły dla psów nowo sprowadzonych — że te biedne, nagie południowce, może charciki *(canis italicus)* musiały w oponach chodzić pod mroźnem niebem Polski. W tym samym czasie pojawia się nazwa nowych psów — psy medyolańskie — z których trzy sztuki ofiaruje Służewski królowi Stefanowi, a nazwa ta znajduje się już poprzednio w regestrach dworów Zygmunta Augusta. Były to psy wyłącznie do szczucia i osadzania dzików, mniejsze od brytanów, jednak silne i wytrzymałe, maści podżaro-srokatej lub czarno-srokatej (Bobiatyński, Nauka łowiectwa I., 32.) W rachunkach z roku 1583, jest wzmianka o psach z Malborga, a w roku 1585 z Węgier do Gródka sprowadzonych.

Przyrodnicze warunki pewnych okolic, rzeźba ziemi, jej szata i gatunki zwierza łownego, wyrabiały same przez się charakterystyczną cechę w hodowli psów. W lesistych dzielnicach przeważały psiarnie gończych i ogarów, w stepowych chart, wyżeł zaś odgrywał wybitną rolę w łowiectwie ptaszem i w sokolnictwie, a tresura ówczesna tego psa stała nadzwyczaj wysoko, skąd też i pies ułożony do ptaszego polowania szczególnie wysoko był ceniony. Musiały to być psy cierpliwe, nadzwyczaj posłuszne, nadzwyczajnego wiatru i powolnie wystawiające ptaka na krótką metę, jeżeli udać się miały tak komplikowane łowy, o jakich pisze Cygański: „A gdzie ujrzysz ptaszka albo przepiórki, abo jeźli y przed wyżłem gdzie zapadnie, tamże biegaj biegiem na to miejsce, a machaj kobcem, że będzie jakoby latał koło ciebie nad ptakiem, tamże nakryjesz go jako chcesz.“ Wyżeł wystawiał ptaka, kobiec przestraszał go, w skutek czego ptak do ziemi przypadał i zaczajał się, i przykrywany był siecią wraz z psem.

W r. 1542 wydanem zostało tłumaczenie dzieła Piotra Crescenci na język polski (Opus ruralium commodorum libr. XII.), w którem znajdujemy (str. 627) zupełnie podobne jak w Cygańskim opisanie łowów ptactwa, głuszców, cietrzewi, kuropatw, a oprócz tego jest tam i traktat o sztuce układania wyżłów i psów myśliwskich. Czyżby autor Myśliwstwa ptaszego korzystał z tego? Kto się wczytał dobrze w dzieło Cygańskiego, ten nabierze przekonania, że nasz szlachcic mazowiecki wcale może nie wiedział o polskiem tłumaczeniu włoskiego autora XIII. wieku; wszak on „nie znał pisma żadnego“, a sposób przedstawienia rzeczy, niejasny jak zwykle u ludzi nie znających się na prawidłach stylu, tchnie mimo to taką świeżością i jędrnością, że zdradza rutynowanego praktyka, któremu tylko giestów i mimiki potrzeba, aby stał się dla każdego zrozumiałym. Cygański nie mówi, ale robi przed naszemi oczami to, co mu własne wskazało doświadczenie i jeżeli nie zawsze jest jasnym dla nas, to niedziw, bo autora tego wykołysały inne stosunki. Mówi jak myśli, w sposób prostaczy; stylu powabnego, odpowiadającego naszym pojęciom, nie mogły go nauczyć szumy rodzinnych borów, wśród których zbierał tyle skarbów doświadczenia. Tacy artyści w swym kunszcie żadnych wzorów nie potrzebują, niczego nie kompilują, ale zawoławszy swego wyżła, wziąwszy „sówkę, kawałek chleba, albo bochenkę, albo dwie y trzeciąć się zejdzie k' wieczoru“ i mnóstwo innego kramu (str. 246) przesuwają się ze szaterkiem i siecią czy potrzaskiem po puszczy i niwie i łowią pewnym fortelem rozmaite lotne zgraje, że zdobycz aż „na kolasę“ trzeba ładować. Właśnie ta odrębna oryginalność i prostota Cygańskiego nadaje jego dziełku szczególniejszą wartość, a także na polu zażycia i tresury psa legawego jest to nasz najcenniejszy bo na wskróś oryginalny zabytek historyczny łowiectwa, jakiem się nie mogą poszczycić w tej epoce inne narody.

Od wieków były wschodnie dzielnice areną charta. Pies ten, odświeżany bez ustanku świeżą krwią, nie mając czasu do zależenia pola wśród bezustannych harców stepowych, które się często wplątały w historyę kresowych wojen, urósł tu do bezprzykładnej na ziemiach europejskich doskonałości, zwłaszcza, gdy rozmaite rasy i odmiany z Wołoszy, z Krymu, z głębokiej Rosyi zgodziły się z czasem z klimatem nowej ojczyzny. Wilka, lisa, zająca chyżego, suhaka szczuto chartami, więc w owych czasach chart i sokół umożliwiały jedynie łowy w stepowej krainie. To też nie dziw, że obok sokoła kładziono w łowiectwie dobrego charta na pierwszem miejscu, że pies ten przeszedł jako szczególny klejnot w przysłowia narodowe, że stanowił wraz z koniem i ptakiem drogi upominek szacunku lub przyjaźni: „Odjeżdżającemu Panu dać wypadało w upominku, co miał dom najlepszego w stajni, w psiarni; konik gospodarza, chartek, ptaszek precz musiał ze szlacheckiego do pańskiego powędrować domu“. (Rej Żyw. cz. pocz. 31).

Charty utrzymywano w psiarniach pańskich we wszystkich dzielnicach kraju, jak o tem często wspominają współcześni; nawet w okolicach lesistych otwierała się często sposobność użycia tych psów, osobliwie gdy zwierz szczuty gończakami w kniei, na pola się wymykał.

Chociaż specyalne o psach gończych i ogarach pisma Jana hr. z Ostroroga pojawiły się już na początku XVII. wieku, treść tychże odnosi się do wieku XVI., gdyż jak sam autor się wyraża, „na prośby przyjaciół opisał nie mało tego co słyszał od starszych myśliwych, z młodu z nimi przebywając“. Dlatego też pisma te, jako jedyne w swoim rodzaju, służyć mogą śmiało za ilustracyę dziejów psa gończego polskiego w XVI. wieku.

W 1608 wyszło „O psiech gończych“, a w roku 1618 „Myśliwstwo z ogary“. Już sama dedykacya tego dziełka królewiczowi Władysławowi, autorstwo wojewody — urodzonego z wojewodzianki Tęczyńskiej, a ożenionego z wojewodzianką i hetmanówną Mielecką—charakteryzuje znaczenie i wagę, jaką posiadał pies gończy w ówczesnem łowiectwie pańskiem. „Oddawam tedy tę pracę moją Waszej Królewskiej Mości, panu myśliwemu, myśliwy stary sługa“ — temi słowy zamyka ten na wskroś wojewoda swą dedykacyę, w której bledną tytuły króla i wojewody w obec godności myśliwego, kreślącego monografię psa łowieckiego panu myśliwemu.

Krótka ale treściwa monografia psów gończych Ostroroga daje dosadne pojęcie, na jak wysokim szczeblu stała ówczesna hodowla tych psów, na jakie tam drobiazgi zwracano uwagę, jak znano fizyologiczne prawidła hodowli na gruncie doświadczenia i do jak specyalnych celów były układane pojedyńcze psy. Żadna może praktyka na świecie nie posiadała tak bogatej, specyalnej gwary i terminologii, takiego lasu zupełnie już dziś nie używanych i zapomnianych nazw, określeń, a jeżeli nasza hippika poszczycić się może bogatym i pięknym językiem dziejowym, to koroną zawodowych języków jest nasz łowiecki język kynologiczny.

Nie mogę tu zapuszczać się głębiej w to wyrazownictwo, charakteryzujące najdrobniejsze szczegóły dotyczące hodowli i użycia psa, z obawy, abym wreszcie sam w niem nie zabłądził, a przedewszystkiem nie zmęczył łaskawego czytelnika, wodząc go do zamarłej przeszłości, której ledwo echa słabo utrzymują się w naszych czasach. Wnet one skonają w przyszłych pokoleniach, oddalających się coraz dalej od dawnych tradycyj łowów z gończakami. Ongi psy goń-

cze według przymiotów miały swe nazwy oddzielne. Ostroróg opisuje „przyjemce“, „popądzce“, „gońce“, „wyprawce“, „poprawce“, „postronne“, „zabawce“, „bydlarze“ i najwyżej cenione „naśladniki“ i znów przeciwne tymże, wprost do niczego „zasadzce“, „pestis wielka i przymiotna między psy“ jak powiada wojewoda.

„Taki pies, co owo bez końca skowyczał,
Był wieszan, by się w poczet myśliwstwa nie liczył“.

Nielepszy los spotykał też i psy o innych szkodliwych narowach według przypowieści, utrzymanej aż do naszych czasów:

„Gdy wyżeł tropiąc pole nosem orze,
Ogar patrzy po drzewie, szukający w borze,
A chart nabył zwyczaju ścigać na przełaje,
Pierwszy, drugi i trzeci kulą w łeb dostaje“.

Podczas gdy „naśladnika“, którą to nazwą zapewne nazywano tropowca, płacono w XVI. wieku $6^1/_2$ dukata, dobry ogar co najwięcej $4^1/_2$ złotych polskich kosztował.

Trudno dziś rozstrzygnąć, na czem polegały różnice pomiędzy gończakami a t. z. ogarami w XVI. wieku i czy w ogóle nazwa ogar jaką osobną rasę stanowiła. W każdym razie ogary nie były to psy na grubego zwierza używane, bo do tego służyły kundle, brytany, dogi i t. p. cięższych ras psy, także wilczaki albo owczarze; ogarów używano prawie wyłącznie na zwierzynę drobniejszą i płochą. Dziełko Ostroroga mówi tylko o ogarze do łowów zajęczych, „o pojmaniu zajęcy przez złaje“. Na opis ogarów i definicyę tej odmiany próżnobym się silił; o ile sądzić można o tem z licznych wzmianek, jakie tu i ówdzie spotkać można, był to pies składu szykownego odważny, o szerokiej piersi, wielkiej okrągłej głowie, grubej trąbie, takimże ogonie, pokryty gładkim i twardym włosem.

Przez krzyżowanie rasa psów gończych pierwotnych prawie zupełnie się zatraciła; kosmaty gończak Kurlandzki, Kostromski, Jarosławski, liczne odmiany niemieckie, francuzkie, słynne psy św. Ludwika lub psy gończe św. Huberta, wreszcie angielskie prastarego pochodzenia lisiarze, w rozmaitych kombinacyach krwi, wytworzyły cały choas kształtów, maści i przymiotów, i w chaosie tym utonął i rozpłynął się niezawodnie rodzinny gończak polski — a według wszelkiego prawdopodobieństwa był nim tak zwany ogar, którego nazwa tylko do nas się dostała. Słynnymi były ongi te psy polskie, ale nie zdołano ich utrzymać wobec napływu coraz to nowych ras obcych, które tyle podawały sposobności do powabnego na chybił trafił krzyżowania.

Pomimo, że Ostroróg uważa, iż do „uciechy doskonałej“ jest dosyć sfór dwanaście, nienazbyt szesnaście, ogół możniejszej klasy był innego zdania i chcąc sobie sprawić uciechę jeszcze „doskonalszą“, utrzymywał i dziesięć razy tyle, już przezto samo, że polowano wszędzie i przez cały rok, jak to widać z pism najdzielniejszego myśliwego swego czasu, poświęcającego królewiczowi swe złote nauki. „Kiedy psi mocą zająca ugonią a zwłaszcza na wiosnę, dobrze go im czasem, lecz i nie rzadko, obłupić i rozsiekać i dać zjeść“ (str. 52) a znów „kiedy gorąca następują, miej zawdy bukłak wody i nieckółki na polu, że dojedziesz do wody ze psy. Pies jest rzecz gorąca bardzo, w gonieniu *motus violentissimus*, owdzie słońce pali, trzeba go przygasać, nie trzeba na to kolasy żałować z podjezdkiem“. *O tempora o mores!*

Dodajmy do kosztów utrzymania takiej psiarni, koszta służby, tych dojeżdżaczy, pachołków, szczwaczy, wreszcie konie, z których mnóstwo to się zabijało, to kulawiało wśród dzikiej gonitwy po manowcach, moczarach i wśród drzew i pniaków — a zrozumieć łatwo, że nie byle jaki chudzina mógł tu wystąpić do współzawodnictwa. To też łowiectwo takie było monopolem pańskim, jak to współcześni poświadczają pisarze. „Myśliwstwo jest to krotochwila prawie pańska i przystojna człowiekowi dworskiemu... Przeto w tych czasach wszystkich dworzanin niechaj nazad nie zostaje“ (Łukasz Górnicki. Dworzanin r. 1566 str. 35 Tur). W łowach takich, a jakich mówi Ostroróg, zwierzyna była rzeczą bardzo podrzędną; był to raczej koncert psich głosów i dźwięku rogów. Posiadanie psiarni, złożonej z basów, tenorów, altów i dyszkantów, z głosów „rzewliwych i jadowitych“ uważano za *pium desiderium*, do którego każdy dążyć był powinien. „Ale to *luxuriae daudum est* myśliwców doskonałych“ (Myśliw. z ogary str. 42. Tur). Krótkiem tem zdaniem makaronicznem określa wielki myśliwy „doskonałość“ ówczesnego myśliwstwa z ogary, a współczesny mu autor dzieła: „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze“ wyd. w r. 1600 podobnie charakteryzuje zasady ówczesnej umiejętności myśliwskiej: „potrzeba wiedzieć, czem psy leczyć i jak lekarstwa dla nich przyrządzać, jak się obchodzić z ptactwem i z psami sposobnymi do polowania, tudzież jak się samemu zaprawić przeto, ażeby po tygodniu bawiąc w kniei, umieć sobie poradzić w każdej dobie“.

Przepełnienie psiarń, nadmierne użycie tychże, to znów zalegiwanie pola, gdy pana od ulubionogo zająca inne sprawy odwoływały, były przyczyną bardzo opłakanej hygieny między psami. Stąd też współczesne dziełka bardzo wiele miejsca poświęcają lecznictwu psów, które podpadały wściekliźnie, nosaciźnie, parchom, weszce, ślinogorzu, utracie głosu (co uważano za największe nieszczęście), zapieczeniu, puchnięciu lub usychaniu nóg, spleciowi, wyłęczu, i t. p. W lecznictwie tem grały naprzemian rolę środki rzeczywiste i urojone, a niektóre z nich stosowano z barbarzyństwem, które tylko wiara w skuteczność usprawiedliwić może. Na wściekliznę dawano ołów siekany z pajęczyną, to znów wyciągano jakąś żyłkę z pod języka, środek niby profilaktyczny, który w praktyce jeszcze lat temu 20 widziałem, a na parchy skutkować miała kąpiel w ługu z jasionowego popiołu. Gdy pies nie chciał porastać, niezawodną była następująca recepta:

Rp. Glist pełną bańkę, super infunde oliwy starej
ad plenitudinem.

Miej to w lecie na gorącem słońcu, a w zimie w garnku w izbie *ad putrefactionem*, potem weźmij jarych pszczół, rozetrzyj i maż tą maścią — „by był jak dłoń, porośnie“.

O terque! quaterque beati pieskowie! A dla waszych panów ponoś już niema rady — chemia kosmetyczna konwulsyjne robi wysiłki chcąc wtargnąć w prawa twórcy i z niczego coś wyprowadzić... Ach, gdyby te glisty doprowadzone *ad putrefactionem* i na łysych głowach ludzkich cudu chciały dokazywać, cóżby to za intratny przemysł otworzył się dla ziemianina w ciężkich czasach „przesilenia“!

Na wściekliznę a osobliwie na ślinogorz używano bardzo miłej operacyi: przepalano „dobrze“ między oczyma gorącem żelazem.

Często wspominaną jest maść Wielogłowskiego, ziele kaczyk, dryakiew, drzewo cisowe, kukramty z okoniów, oman, proch ruszniczy, siarka, wilczomlecz, smoła, goryczka, piwonia, róża pełna, świerszcz w słoninie i mnóstwo innych... A gdy to wszystko nie pomagało — *ultimo ratio*: „trzeba psa topić, żeby się dobrze wody napił“. Lecznictwo psie stało się tedy rzeczą tak popularną, że weszło w przysłowie: „trzeba umieć swego psa leczyć“, a oznaczało to tyle, jak znaleźć radę w trudnych wypadkach.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad tą historyczną psią medycyną, bo nie wchodząc w to, czy rzeczywiście środki te były skutecznymi, sam stan tej wiedzy wskazuje na wielką troskliwość, jaką otaczano psiarnię i mówi o wielkiej wartości, jaką pies posiadać musiał dla ówczesnego myśliwego.

Podczas gdy u naszych sąsiadów na zachodzie łowiectwo jako wyłączny regal korony w odrębny kształtowało się sposób, cechą łowiectwa naszego w XVI. wieku jest wyrobienie się indywidualności i monstrualnej samowoli. Upadała coraz bardziej korona, a stan uprzywilejowany podejrzliwem okiem patrzał na każdego monarchę, pragnącego byle czem wzmocnić władzą królewską.

Złoty wiek nauki i literatury był zarazem i złotym wiekiem łowiectwa — nie co do treści, bo coraz to mniej było grubego i wspaniałego zwierza, a po większe wrażenia myśliwskie trzeba było zaganiać się w odległe puszcze Litwy lub Polesia — ale złotym był co do formy, zewnętrznej wystawy, na którą w wielkiej części składały się liczne i zbytkowe psiarnie. Na gruncie zresztą z wielkiem barbarzyństwem połączonej gonitwy za płochym zwierzem, który był tu rzeczą najpodrzędniejszą - snuła się jakaś nić poezyi łowów, wśród coraz to staranniej układanej gry psów, i do rzędu prawdziwego kunsztu podniesionej muzyki rogów i wybrednej estetyki konnych harców.

Ale od czasu do czasu zmieniała się scena — grube i drzące „achy“ rogu do poważnych wzywały zapasów — oko w oko trzeba się było zmierzyć z potężnym zwierzem, pancerne brytany i obróżne kundle drążkowe z basowem ujadaniem osadzały mysia lub odyńca — a oszczep, pewną i mężną prowadzony ręką, kładł koniec takim łowom.

Lecz czegóż się tak pasyonowali ci zamarli XVI. wieku myśliwi? Na jakich podstawach urastało łowiectwo do tak monstrualnej namiętności, o czem mówią dzieje wszystkich czasów i narodów? Wszak naszym panom XVI. wieku nie chodziło o zająca ani o inną zwierzynę, a walka ze zwierzem jako konkurentem bytu należała już dawno do przeszłości? Te same pytania możnaby postawić jeszcze i w naszych czasach, dlatego odpowiem tu słowami niemieckiego poety naszego wieku:

Das ist Geheimniss der Jägerei;
Mit Fuchs und Hirsch und Auerhahn,
Mit Büchs und Schuss ist nicht gethan —
Es ist ein Geist dabei. *(Laube).*

Gdy bohaterski król Batory, obok homerycznej prostoty obyczajów, wniósł na tron przykład prawdziwego myśliwego, doszło i łowiectwo dworskie do kulminacyjnego punktu. Podczas rządów jego i prawdopodobnie wskutek jego zachęty, poruszyło się i specyalne na tem polu piśmiennictwo, dobyły sie na świat z puszcz Mazowieckich wspaniałe echa — istne perły historycznego łowiectwa — a po śmierci króla rozbrzmiały wnet rymy Bielawskiego, malujące w charakterystycznych obrazkach łowiectwo XVI. wieku. Niezawodnie że już wtenczas zaczęła kiełkować myśl w autorze wojewódzkim do wydania dziełek, które opuściły prasę dopiero za Zygmunta III.

Nie bardzo to dawne czasy — 300 lat zaledwo dobiega — a jednak cóż za duch odmienny wieje od tych postaci przeszłości?! Król wojownik-myśliwy, obstawiający puszcze „trzciomitną siecią“ (Bielawski), odpoczywający na łożu z liścia i chrustu, brnący w ciemnych puszczach jak w głębokiem piekle, (słowa Heidensztejna) — wojewoda poznański radujący się w przedmowie do królewicza, „że szlachcicowi polskiemu myśliwstwa zażywać gdzie chce wolno“, — a wreszcie ów ornitolog puszczy, prawdziwy mistrz swej sztuki, przesuwający się ze swym wyżłem, szaterkiem i sówką po ojczystej puszczy, z torbą chlebem napełnioną — to obrazki niby z jakiejś odległej historycznej wydobyte głębi. A przecież ci ludzie przemawiają do nas zrozumiałym językiem, jakiś naiwny i prostaczy a orzeźwiający duch wieje z tych wieków łowiectwa w przygniecioną atmosferę naszych czasów, i wybitnie rysują się te postacie na tle epoki, w której coraz to bardziej zakradały się inne obyczaje, budziły chciwość i matactwo, grzebiąc dawnych sarmatów rycerskość i prostotę.

„Cała nasza myśl pomnażać majętności!“ — wołał jeszcze w r. 1543 nasz Demostenes, Stanisław Orzechowski w swych „Turcikach“ — „przetrząsamy prawo, wertujemy szpargały, jakby włość cudzą przywłaszczyć, kopce w niwę albo w miedzę sąsiada pomknąć. Tem zatrudniamy sejmy, za tem gonimy na sądy i roki. Wojna nam zupełnie z pamięci wyszła. Sztuka rycerska, którą niegdyś wzrosło to królestwo, ledwo nie do szczętu zgasła“. (Mowy str. 94. Tur.) Minęły czasy Olbrachtowych rycerzy, coraz rzadziej odzywały się echa łowieckich rapsodyj pierwszych Jagiellonów, rzadły puszcze, skrzętna Ceres zakładała swe panowanie na dziewiczych ziemiach, a na krwią wieków użyźnionym gruncie wybujał niejeden chwast, a przedewszystkiem w rodzinnem państwie Diany rozbujały rzeczy nie w jednym kierunku. To też posiadamy z tej epoki mnóstwo satyrycznych docinków i humorystycznych obrazków tej rozbujałej manii. Nawet myśliwy Bielawski używa swych rymów na wyśmianie szkodliwej manii w utrzymywaniu psiarń:

„Tysiąc kroć więcej psy w roku kosztują,
Niźli uszczują.
Więc dziś dwa korce mąki zjedzą charci,
Wiele cię na dzień psi, frater, kosztują?
I wiele zwierzów gębami ujmują?“

Na to pytanie sam odpowiada:

„Piętnaście groszy, a niemi zające
Ledwo utrącę.
„Azaż ten wisa na łąku za nogi,
Trzy, cztery grosze, nie bardzoć to drogi
Zając trzy grosze, za piętnaście psi —
Urwie się w rok wsi. (Obrót VIII).

Ale cóż, kiedy satyryk, wyszydzając manię charciarską, wnet wypada ze swej roli dojrzawszy „charta goniącego do składu“ i w tej chwili zapału popędliwa polska natura znów uderza w inny ton i wysławia łowy charcie:

„To nam nie żal ni prace na psa, ni nakładu“,

a już wcale wpada w ferwor, dostrzegłszy jak chart wieprza bierze za ucho:

„Wypadł równo, by po stole,
Bieży milcząc, ni skowyczy,
Ni dołów, ni gór nie liczy:
Wieprza dotrzymał za ucho,
Wypadł nań jakoby głucho,
A wieprz wrzeszczał, słyszeć było,
Patrzały oczy niemiło“. (Obrót ost.)

Krewkość narodowa brała górę nad krytycznym rozumem. To też cała mozaika kontrastów przeplata dawne nasze dzieje i niesłychanie utrudnia oryentowanie w właściwym kolorycie epoki. Z pism nie poświęconych specyalnie łowieckim sprawom, przedewszystkiem z Reja, owianego zawsze jednym i tym samym duchem, czerpnąć można jeszcze najwięcej wiadomości o charakterze łowiectwa XVI. wieku.

W każdym czasie, przy byle jakiej sposobności, łowy z psami wysuwały się na pierwszy plan zajęć nawet niezbyt zamożnego ziemianina; zapominano o roli, o dobytku, o naj-

ważniejszych podstawach bytu ekonomicznego, tak dalece, że już w owym czasie korzystnych ekonomicznych warunków, gdy otworzył się bardzo szeroki handel zbożowy na zachód, gdy ceny zboża raptem się podniosły — do wielu dworków szlacheckich poczęło zaglądać nieznane dotąd widmo niedostatku, o którym tak często wspominają autorowie tych czasów, spychając w wielkiej części na myśliwstwo przyczynę złego. Między innymi powstaje Piotr Wężyk Widawski, satyryk XVI. wieku przeciw tej manii, gromi „Nimrodów, co dla myśliwstwa się nędzą“, bo „lepiej tym kilkanaście wieprzów karmić i chować, niż sobie grzbiet niepewną goniąc zwierzynę ocierać, w harabie szyje nałomić, swędu wąchać, gdyż nie tak zwierzyny potrzeba, jak taniego chleba“ (Exorbitantia w Krakowie 1603).

HUŚLANKA.

Po ciężkiej chorobie zmuszony byłem w r. 1882 z porady lekarza wyjechać dla poratowania zdrowia w Karpaty. Celem brania zimnych kąpieli w rzece Pistyńce, zamieszkałem o parę kilometrów od miasteczka Pistynia, w Utoropach, wiosce, położonej bardzo romantycznie w górskiej kotlinie, pośród gór znacznej wysokości, pokrytych przeważnie wysokopiennym lasem, który podnosi urok całej doliny.

Lecz nietylko sama natura rozwija tu swój wdzięk romantyczny; podnosi go jeszcze grupa kilku w stylu szwajcarskim pobudowanych domków, które, w czasie istnienia salin w Utoropach, zamieszkiwali funkcyonaryusze salinowi. Domki te położone w środku wsi z rozpościerającą się pomiędzy niemi płaszczyzną, na której sterczą cembrzyny dawnej studni ze słoną wodą, nadają Utoropom pozór miasteczka, a to tem więcej, iż przez środek wioski prowadzi bity gościniec z Kołomyi w kierunku „Czarnohory“ do Kosowa. Po zwinięciu salin w Utoropach wydzierżawiano pozostałe domki emerytom różnych dekasteryj i wdowom po pensyonistach. Otóż w jednym z tych domków, niezajętym przez nikogo, ulokowałem się i ja na czas kuracyi.

Lasy w około należą do kamery. Administracya ich miejscowa składała się podówczas z zarządcy lasów, leśniczego, (czyli nadzorcy rewirów) elewa i kilku pobereżników, nazywanych tam z niemiecka „hegerami“.

Ponieważ środkami do odzyskania zdrowia miały być wedle ordynacyi lekarza zimne kąpiele, jedzenie owoców, picie kwaśnego mleka i dalekie spacery — o ile możności w lesie — więc przedewszystkiem uważałem za wskazane zrobić wizytę urzędnikom Zarządu lasów, aby się z nimi zapoznać i uzyskać pozwolenie do wolnego chodzenia po lasach i zbierania jagód. Pragnąłem też gorąco poznać choć trochę górską faunę, gdyż po raz pierwszy w mem życiu znalazłem się w głębokich górach. Przypuszczałem, że tu nietylko gruby zwierz lecz i zając musi nieco odmiennie wyglądać, lecz zawiodłem się, gdyż zobaczywszy przy pierwszej wycieczce dobrze mi znanego „kubę“, wybiegającego z czeluści głębokiego jaru, skonstatowałem, że pod względem ubarwienia, głupowatego zachowania się i bojaźliwości, nie różni on się ani na jotę od naszego podolskiego szaraka.

Organizując dalej moją kuracyę, udałem się do Huculów, aby sobie zamówić codzienną dostawę kwaśnego mleka, którego wypijałem dziennie najmniej trzy do cztery litry. Nie poszło mi to tak gładko, jak z pozwoleniem spacerowania w Zarządzie lasów, spotkałem się bowiem z zakorzenionym u Huculów przesądem, którego nietylko perswazyą, ale nawet pieniądzmi przełamać nie było można. Oto każda baba — a przynajmniej wszystkie te, które zapytywałem — nie wydawała w pewnym dniu tygodnia nic z nabiału poza obręb chaty, z obawy, aby czarownica krowie mleka nie odebrała. Na szczęście każda baba miała inny dzień zaczarowany, więc udało mi się w końcu zgodzić dostarczanie mleka u dwóch Hucułek równocześnie. Wszakże i ta zapobiegliwość nie uchroniła mię całkiem od kłopotu, bo gdy się trafiło, iż jedna Hucułka, przybywszy z mlekiem wcześniej, znajdowała się jeszcze u mnie w domu, a druga tymczasem swoje mleko przyniosła, to pierwsza nie dała się niczem nakłonić do wyjścia z izby temi samemi drzwiami, któremi weszła, lecz splunąwszy po trzykroć za siebie i pomruczawszy jakieś zaklęcia, gotowa była wyłazić oknem, lub w najlepszym razie odważyła się wyjść drugiemi drzwiami — i to bez różnicy, czy to była młoda, przystojna mołodyca, czy stara odrażająca maszkara.

Może po dwóch tygodniach pobytu mojego w Utoropach, spotkałem się na jednej z mych wycieczek w lasy z leśniczym Utoropskich rewirów, a przywitawszy się wzajemnie, usiedliśmy w cieniu drzew, aby trochę wypocząć i rozpoczęliśmy rozmowę, która — jak zwykle między myśliwymi — toczyła się na temat myśliwstwa. Wśród tego i owego rzekłem:

— Wykąpawszy się kilka razy w Pistyńce i wypiwszy sporo kwaśnego mleka, czuję się już tak zdrowym, że nie wahałbym się pójść na polowanie nawet na błota.

— U nas błót nie ma nigdzie odrzekł leśniczy — i ptactwa błotnego nie widać, chyba przypadkiem gdzieś na mokrych miejscach zapadnie jakiś ptak błotny w czasie przelotów. A w kniei polować nie wolno pod żadnym pozorem, nawet w porze łowów wolno tylko tyle odstrzelić, ile nam z góry przepiszą. — Ale, aha!... Dobrze, żem sobie przypomniał. Może pan zechce, spróbować strzelać do dzikich gołębi. Mamy tu niedaleko od wsi pod lasem polanę, gdzie jak na strzelnicy ćwiczymy się w strzelaniu do gołębi, zapadających na tę polanę. Gołębie, które tam przylatują, zdają się być tylko w przelocie i nie przedstawiają dla tutejszego gospodarstwa łowieckiego żadnej wartości, więc niech pan tylko powie panu Ferwalterowi, a będzie pan mógł strzelać bez przeszkody. Chodźmy tam — dodał leśniczy — to stąd niedaleko, zaraz pan zobaczy, jak to polowanie się odbywa.

Przybywszy na miejsce, dokąd mnie leśniczy zaprowadził, spostrzegłem lekko zagłębioną polankę, na której pozostał ślad wiosennej kałuży w rozmiarze mniej więcej około 20 metr. na długość i szerokość. Cała ta przestrzeń, względnie dno kałuży, powleczone było białawą, szklącą się krustą koloru srebra, którą stanowiła czysta, skrystalizowana sól kuchenna, pozostała po wyparowaniu wody.

Przekonawszy się, że na polance nie było żadnej ponęty dla gołębi, nie chciałem uwierzyć, aby gołębie tam zapadać mogły i rzekłem:

— Et, masz mię pan chyba za fryca, skoro przypuszczasz, iż dam wiarę, aby na tej kruście soli, bez jakiejkolwiek przynęty ziarna, lub czegoś podobnego, dzikie gołębie strzelać było można.

— Skoro pan nie wierzy — odpowiedział leśniczy — to nie pozostaje mi nic innego, jak przekonać pana zaraz na miejscu. Widzi pan te dwie budki z gałęzi? Kazałem je postawić na to, aby się w nich ze strzelbą wygodnie ukryć można. Ja wlezę do jednej budki, a pan niech weźmie moją strzelbę i wlezie do drugiej. Poczekamy chwilę i przekona się pan, że gołębie niezadługo zaczną zapadać i zdzióbywać białą powłokę, którą, jak pan to sam sprawdziłeś, jest czysta sól.

Ukryliśmy się w budkach i w samej rzeczy po kilkunastu minutach oczekiwania przyleciały dwa dzikie gołębie, tak zwane „dziupłaki", i chodząc po błyszczącej kruście soli, dzióbały. Przez chwilę przypatrywałem się temu ze zdziwieniem a potem strzeliłem do jednego z jednej, a do drugiego z drugiej lufy, lecz ubiłem tylko jednego, gdyż, wbrew przypuszczeniu, chybiłem właśnie tego, do którego strzelałem na ziemi.

W kilkanaście dni później zaprosił mię sam p. Zarządca lasów na oficyalną obławę na dziki, którą zarządziło Starostwo z powodu wielkich szkód, jakie dziki wyrządzały na polu, w tak zwanych „carynach".

Jużto, co prawda, nie miałem nigdy wielkiego nabożeństwa do oficyalnych obław, uważając je za rodzaj bezcelowej gonitwy. Nie zdarzyło mi się widzieć, aby na takich polowaniach wyszła kiedykolwiek obława na linię strzelców równym łańcuchem. Naganiacze kładą się najczęściej po krzakach i jarach, albo wymykają się bokami i wracają do domu, zazwyczaj z pękiem skradzionych lasek na obręcze, lub co najmniej z jednym na „użewkę" przeznaczonym dębczakiem. W nadziei wszakże, iż może jaki szczęśliwy traf sprawi, że owe żywicą oblepione dzicze olbrzymy, od których — jak mi opowiadano — mają się kule odbijać, niby groch od ściany, spotkają się ze mną oko w oko — zdecydowałem się wziąć udział w zamierzonej obławie i przyrzekłem, że w oznaczonej godzinie przybędę na punkt zborny.

Skoro tylko zaświtał dzień, przeznaczony na obławę, wyszedłem na dwór popatrzeć, czy góry „dymią", czy nie dymią, gdyż nauczyłem się już tyle od Huculów, że gdy z gór gęste mgły się podnoszą, to niezawodnie będzie słota. Na szczęście góry nie pociły się wcale, powietrze było czyste, orzeźwiające, więc ubrałem się lekko, bezpieczny, że pogoda nam dopisze. Przez otwarte okno dochodził mnie odgłos trąbki „hegera", który strąbiał zawzięcie obławę. Wypiłem tedy spiesznie herbatę i zabrawszy strzelbę, torbę i wyżła, wyruszyłem — jeśli mie pamięć nie myli — pod rewir od strony Jabłonowa.

Wiedziałem już wprawdzie z własnego doświadczenia, że wyżła nie należy nigdy brać do kniei, bo może nabawić kłopotu, lecz z uwagi, że byłem bezżenny i wiktowałem się poza domem, nie mniej z powodu jakiegoś przeczucia, że wyżeł może mi sie przydać, odstąpiłem od kardynalnej myśliwskiej zasady.

Przybywszy na miejsce, skąd co chwila dawała się słyszeć trąbka leśnego, zastałem już wszystkich funkcyonaryuszów administracyi lasów Utoropskich, dwóch c. k. żandarmów i kilkadziesiąt ludzi, przeznaczonych do obławy, między którymi znajdywały się baby, mołodyce, a nawet młode, przystojne dziewczęta, uzbrojone w toporki, zwykłe siekiery, a nawet w grube, sękate kostury. Ponieważ wszystko już było gotowe, wydano bezzwłocznie dyspozycye, którędy obława ma zachodzić i ruszyliśmy do kniei.

Życzliwy mi leśniczy chciał widocznie dać mi sposobność do strzału, objaśnił mnie którędy dziki najprędzej uderzyć mogą i zostawił mnie na flance z zastrzeżeniem, abym postępował ze 200 kroków przed nagonką i pilnował bacznie jaru, ponieważ — jak mnie zapewniał — niedaleko stamtąd miały być barłogi.

Zrazu, jak tylko nagonka narobiła hałasu, stałem niejaki czas w miejscu, ale nie zobaczywszy nic i nie usłyszawszy żadnego szelestu, któryby zbliżanie się jakiejkolwiek zwierzyny zwiastował, poszedłem dalej, jak mi się zdawało w kierunku wskazanym przez leśniczego. Lecz niestety, nie tak to łatwo w głębokich górach się oryentować. Nawet z położenia słońca nie zawsze właściwy kierunek na wschód i zachód, północ i południe odgadnąć można. Tak też i ja, chociaż patrząc na słońce sądziłem, że trzymam się ciągle wskazanego mi kierunku, poszedłem w stronę wręcz przeciwną i koniec końców zabłądziłem tak, iż najzupełniej nie wiedziałem, którędy dalej iść, aby się dostać do strzelców lub do obławy. Słyszałem wprawdzie jeszcze przez jakiś czas dźwięk trąbki, lecz echo jej, łamiąc się po jarach, bałamuciło mię coraz bardziej i powodowało coraz dalsze zapuszczanie się w góry, tak, iż w końcu już i trąbki nie słyszałem i głucha ogarnęła mnie cisza.

W tej krytycznej chwili przypomniałem sobie, z której strony miałem wiatr, gdy wychodziłem z Utorop, a zbadawszy kierunek wiatru, skierowałem pochód mój w ten sposób, aby mieć wiatr ciągle z przeciwnej strony. Ale i to mi nic nie pomogło — przeciwnie, bałamuciło jeszcze więcej, gdyż miejscowe odbicia wiatru brałem za prąd stały.

Błąkając się tak przez parę godzin, to wspinając się na szczyty gór, to spuszczając się na dół, doznawałem piekielnych mąk od gorąca i zimna, gdyż w jarach promienie słoneczne koncentrowały się we mnie jak w soczewce do zapalania i paliły, a na górach przewiewał chłodny wiatr do szpiku, tak, że czułem aż łamanie w kościach i czemprędzej schodziłem znów na dół. Wtedy to dopiero pojąłem dlaczego huculi, wybierając się choćby latem w góry, przywdziewają „kieptar", który zawdziewają wełną do ciała na szczytach, lub wełną na wierzch, gdy w dołach słońce dopieka.

Błądząc, natrafiłem na tak mocno zwarte i gałęziami formalnie ze sobą splecione gąszcze, że o przedarciu się przez nie ani mowy być nie mogło. Nawet pies mój cofał się, bo tylko w niektórych miejscach z wielką biedą na parę kroków do środka wcisnąć się potrafił. Miejscami zaś zagradzały mi drogę złomy grubych, starych drzew. Tu i owdzie znowu przecinały kierunek mego pochodu olbrzymie, na kilkadziesiąt stóp głębokie rozpadliny o prostopadłych ścianach, których brzegi gdzieniegdzie połączone były wykrotami grubych jodeł i świerków, leżących na poprzek tych olbrzymich bruzd górskich.

Gdy przejście było niemożliwe, starałem się przeszkodę obejść, przeważnie jednak przebywałem te jary po wykrotach i to bez względu na to, czy były grube, czy cienkie, gdyż i ja i mój wyżeł mieliśmy na tyle ćwiczenia, że nam nie było trudno przejść nawet po drągu o 15 cm. średnicy.

Nie byłem jeszcze zupełnie zdrów, więc po tak forsownym marszu uczułem się niesłychanie zmęczonym. Siły mnie opadały, a do tego głód zaczął mi niemiłosiernie dokuczać. Usiadłem tedy pod drzewem, aby trochę wypocząć i wytchnąwszy, sięgnąłem do torby po przekąskę. Ale...

o zgrozo! torba była próżna! W pospiechu zapomniałem zabrać przygotowaną żywność dla siebie i dla wyżła... Rozpacz mnie ogarnęła. Bez sił i w trwodze śmiertelnej co dalej pocznę, rzuciłem się na ziemię i... usnąłem.

Musiałem spać kilka godzin, gdyż obudziwszy się, spostrzegłem, że miało się już ku wieczorowi. Obudził mię najprawdopodobniej pies, gdyż nie leżał u nóg moich, gdzie mu leżeć kazałem, lecz stał przedemną nieruchomo z podniesioną do góry pompą, utkwiwszy wzrok w jednem miejscu na odstającej nieco gałęzi drzewa, pod którem leżałem. Zwróciłem oczy w tym samym kierunku i wnet ujrzałem ptaka, podobnego do kuropatwy, tylko nieco większego, stojącego niepewnie na gałęzi i podpierającego się co chwila to prawem, to lewem skrzydłem.

Wiedząc dobrze, iż kuropatwa nigdy na gałęzi nie siada, zdumiałem się w pierwszej chwili i zupełnie zapomniałem o strzelbie, a gdym wreszcie włożył śrutowy ładunek do lufy, już ptak się zerwał i odleciał, wskazując mi łopotaniem skrzydeł kierunek, którędy odlatywał.

Żal, że nie mogłem nieznanego mi ptaka oglądnąć z bliska i myśl, że mięso z niego uratować mię może od głodowej śmierci, zdziałały tyle, że zerwałem się na równe nogi tak lekko, jak gdybym był wcale nie zmęczony. Chwyciwszy strzelbę, pospieszyłem za ptakiem i szczęśliwym trafem zobaczyłem go po raz drugi, ale i teraz, przypatrując mu się za długo, zaniedbałem stosowną chwilę do strzału i pozwoliłem mu znowu odlecieć, aby go już więcej nie obaczyć. Że to był jarząbek, którego przedtem nigdy nie strzelałem, objaśnili mnie później moi Utoropscy znajomi.

Za chwilę potem uczułem napowrót zmęczenie i taką ociężałość w nogach, że tylko z wielkiem wysileniem ciągnąłem je za sobą. Mimo to szedłem dalej, postanowiwszy strzelać wszystko, co mi się pod lufę nawinie. Chwiejąc się i zataczając ze zmęczenia jak pijany, dowlokłem się jeszcze ze dwa kilometry od miejsca, gdzie spoczywałem, a ubiwszy po drodze dwa kwiczoły, natrafiłem na jakieś suche, wewnątrz wypróchniałe, ogromne drzewo, gdzie postanowiłem przenocować.

Przygotowując się do noclegu, począłem bliżej badać ten z pewnością najprymitywniejszy gabinet, jakiego chyba Robinson do spania używał, i włożywszy strzelbę do dziupła jak komin wysokiego, strzeliłem dwa razy do góry. Przekonawszy się, że oprócz spadającego po strzale próchna nic więcej tam nie było, zacząłem zbierać suchy chrust, aby rozniecić ogień i upiec na patyku ubite kwiczoły.

Podczas zbierania chrustu doleciał uszów moich jakiś niewyraźny głos, jakiś śpiew, niby zwrotka kołomyjki. Przez rozpaloną głowę przeleciała mi myśl dziecinna: czy to rusałka wabi mię ku sobie, aby jeszcze bardziej opętać i znękać?

Po chwili jednak przyszła refleksya, pomyślałem, że to jakaś ludzka istota, która może mi przyjść z pomocą i zarzuciwszy strzelbę na ramię, puściłem się w kierunku, skąd mnie ten głos dolatywał.

Uszedłszy ze dwieście kroków, usłyszałem już całkiem wyraźnie zwrotkę kołomyjki:

„Oj lubase, lubaseńku daj burkotu w sklańci!
Kupiu tobi postolata za piwtory bańci*).

Postąpiwszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, zobaczyłem ścieżkę, wijącą się ubocza góry, po której szedł w kierunku ku mnie jakiś młody parobczak, zwany w huculskiem narzeczu „łegin“. Stanąwszy za drzewem, oczekiwałem, aż się przybliży, poczem wystąpiłem na ścieżkę i zapytałem go dość łagodnie, skąd jest?

Zapytanie to skonsternowało wyrostka do tego stopnia, że przez chwilę stał jak wryty, a następnie, rzuciwszy na ziemię próżną baryłkę, zaczął co tchu uciekać.

Widząc, że wszelkie nawoływania, aby stanął, skutku nie odnoszą i bojąc się aby mój wybawiciel (bo go już naprzód za takiego uważałem) z oczu mi nie zniknął, posłałem za nim wyżła, który na tego rodzaju wyścigach znał się bardzo dobrze i czekał tylko rozkazu.

— Daj go tu! — krzyknąłem.

Wyżeł pomknął jak wicher i dopadłszy po kilkudziesięciu susach uciekającego chłopaka, przytrzymał go na miejscu. Zbliżywszy się do „łeginia“, wytłumaczyłem mu naprzód, że niepotrzebnie przedemną uciekał, a następnie zacząłem go wypytywać, skąd jest i gdzie idzie? Hucuł odpowiedział wprawdzie na pierwsze zapytanie śmiało, że pochodzi ze wsi Szeszory, ale przy drugiem pytaniu zaczął się jąkać, nie chcąc otwarcie zeznać, dokąd idzie. Wyznanie to zresztą było mi zbyteczne, gdyż domyśliłem się, że idzie do Utorop po surowicę (słoną wodę).

Dowiedziawszy się przy dalszem badaniu, że do „koliby“ jego brata, położonej w „carynie“, wcale nie daleko, zdecydowałem się pójść tam na nocleg i rozkazałem przytrzymanemu parobkowi, aby mię do tej koliby czy chaty zaprowadził. Ruszył przodem pod strażą wyżła i niebawem stanęliśmy pod chatą.

Przekroczywszy próg chaty, zawołałem zaraz do siedzącego na ławie Hucuła:

— Bij sia Boha! dawaj mołoka!

Mieszkańcy koliby, mąż i żona — o ile przy zapadającym zmroku zauważyć mogłem, wcale przystojna mołodyca — przestraszyli się mojego nagłego wstąpienia do chaty. Hucuł zaczął coś szybko i niezrozumiale bełkotać, Hucułka zaś — będąc tylko w koszuli — oprócz przestrachu zażenowała się jeszcze, bo zakrywając się rękami cofała się wstecz od ogniska ku pościeli, poczem nagłym ruchem porwawszy „fotkę“ t. j. wązką, wełnianą zapaskę, przywiązała ją z tyłu, podczas gdy kontury jej wdzięków od frontu pozostały nadal niezakryte.

Spostrzegłszy, że szanowne to małżeństwo z przestrachu nie bardzo gościnnie mnie wita, ponowiłem żądanie moje słowami, którym, o ile tylko mogłem, starałem się nadać ton jak najłagodniejszy.

— Dajte meni mołoka — rzekłem — ja zapłaczu.

To poskutkowało. Hucuł przystąpił już śmielej do mnie i chylając się do kolan odpowiedział:

— Pańciu lubyj, sidajte, je duże ładna huślanka. — A zwróciwszy się do żony rzekł rozkazująco: — Jewdocha, dawaj!

Hucułka wyszła natychmiast z chaty i za chwilę wniosła drewniany kubek, około pół litry objętości, napełniony białym płynem podobnym do mleka.

W mniemaniu, że to słodkie mleko, chwyciłem gorączkowo kubek w obie ręce i przytknąwszy do ust wypróżniłem go kilkoma łykami, nie próbując nawet smakować, tembardziej, iż płyn był przyjemnie chłodny. Dopiero po wypiciu uczułem w gębie straszne pieczenie, a w krtani skurcz tak okropny, iż ani słowa ze siebie wykrztusić nie byłem w stanie. Myślałem, że mi Hucułka z umysłu podała truciznę. Wypadłem zatem czemprędzej na dwór, chcąc odrzucić napój przeklęty.

Za mną wypadł także Hucuł i jął wypytywać troskliwie, co mi się stało, a nie mogąc się doczekać wyja-

*) Nazwa, używana przez Hucułów na papierowe guldeny.

śnienia, wpadł napowrót do koliby i krzycząc podniesionym głosem, zabierał się do śledczego badania Hucułki za pomocą łyczanego powroza. Widząc, że staję się powodem sceny małżeńskiej, wróciłem i wytłumaczyłem Hucułowi, iż tak strasznie gryzącego, kwaśno-gorzkiego napoju znieść nie byłem wstanie, bo pijam tylko kwaśne mleko.

Wyrozumiawszy mnie, uspokoił się Huculł trochę, lecz gniewnym jeszcze tonem zawołał na żonę:

— Dawaj teper kisłyk!

Usłyszawszy słowo „kisłyk" wypadłem znowu na dwór z postanowieniem nie picia już niczego więcej, bo myślałem, iż skoro tak poetycznie nazwana „huślanka" jest piekłem w mlecznej szacie, to jakżeż musi smakować napój, którego sama nazwa już na kwas zakrawa. Na szczęście okazało się, że kisłykiem nazywało się zwykłe mleko kwaśne, „huślanka" zaś była wprawdzie także mlekiem, ale za pomocą glegu sztucznie zakwaszanem i całemi tygodniami kisnącem.

Mimo, że podane mi mleko kwaśne było bardzo dobre, nie mogłem w żaden sposób ugasić pragnienia i huślanka piekła mnie aż do powrotu do domu, choć Hucułka, dając mi na kolacyę kawałek „małaja" i mamałygę ugotowaną na samem prawie maśle, starała się we wszystkiem mnie zadowolić. Wszystko to jednak, a nawet jej piękne czarne oczy, nie potrafiły zatrzeć pierwszego wrażenia wstrętu, jaki „huślanka" we mnie wywołała.

Po kolacyi Hucuł wziął siekierę i poszedł w „carynę", jak mówił: „pantrowaty mandyburki (ziemniaki) bo zwir czasom lize, choć watru (ogień) kładu". Odchodząc już, rzekł jeszcze do żony:

— Jewdocha! a pamiataj, szczobyś tu pańcia dobre uhostyła!

Młody łegin, który mię do chaty sprowadził, odszedł także, niewątpliwie po surowicę, tym razem bez przeszkody.

Po odejściu obu mężczyzn z domu, przygotowała mi Hucułka łoże do spania z mchu i siana, na wyraźne moje żądanie na dworze pod wystającym od chaty dachem, gdyż w kolibie dla dymu i zaduchy spać nie byłbym w stanie.

Nazajutrz rano dostałem od Hucułki na śniadanie znowu małaj (kukurudziany placek) i mamałygę ze śmietaną, a na zakończenie i złagodzenie mej przykrej przygody z „huślanką", odprowadziła mię z polecenia męża, który ze świtem do domu powrócił, aż pod Utoropy.

Podczas najbliższych odwiedzin u leśniczego podano na podwieczorek młode ziemniaki z „huślanką", umyślnie na to, aby mię przekonać, że „huślanka", skoro się ją inaczej przyrządzi, nie jest bynajmniej w smaku tak odrażająca, jak owa, którą u Hucuła przypadkowo wypiłem. Nie bez ostrożności i dreszczyków odrazy dałem się namówić na skosztowanie tego specyału, lecz przekonałem się, że „huślanka" w inny sposób przygotowana była wcale dobrą, tak, że i najwybredniejszy smakosz nie miałby jej wiele do zarzucenia.

Sposób robienia „huślanki" jest bardzo prosty: Bierze się czysty garnek, wysmarowuje wewnątrz kwaśną śmietaną, nalewa się doń niezbieranego prażonego mleka słodkiego i stawia się je w ciepłem miejscu, aby się ścięło. Po ścięciu staje się podobne gęstością i kolorem do śmietany i smakuje poniekąd jak śmietana, ale jest przyjemniejsze i delikatniejsze.

Dziś, gdy po tylu latach przypominam sobie to niezwykłe dla mie zdarzenie, nie uczuwam już dreszczów na wspomnienie „huślanki"; owszem, zdaje mi się nawet, iż gdyby owa młoda Hucułka stanęła jak ongi przedemną z toporkiem w ręku i „dziubeńką" wdzięcznie przez ramię przewieszoną, a patrząc ponętnie czarnemi jak węgiel, palącemi oczyma, rzekła: „Pańciu lubyj, chodim!" — to nie zawahałbym się ani chwili wychylić jeszcze jeden kubek tej samej „huślanki", od której przed trzynastu laty aż mi świeczki w oczach stanęły...

Seweryn Kisielewski.

Kilka słów z Podola.

— Szczęść Boże dobrej myśli i radom! — Tak pomyślałem sobie przeczytawszy korespondencyę z Podkamienia w 8. zeszycie „Łowca". Pierwszy to głos, który tak jaskrawo przedstawił straszną klęskę, którą poniosło łowiectwo po dawno niebywałej zimie, jaką była zeszłoroczna. Pierwsza to poważna myśl i rada, której życzyć należy, by padła jak ziarno na dobrą rolę. Ciężką klęską zaznaczyła się ubiegła zima w Podkamieniu i okolicy. Czy są jednak szczęśliwsze pod tym względem okolice, dla którychby ten „straszny grom" był względniejszym? Dla wielu jest to jeszcze zagadką wątpliwą, ale rozwiążą ją rezultaty polowań w bieżącym sezonie — a więc nie zadługo. Co do mnie — w zakątku naszym nie spodziewam się pomyślnch rezultatów.

Po przeczytaniu przytoczonej korespondencyi, my Podolacy z radością przyznać musimy, że nad Podkamieniem św. Hubert szczęśliwszą gwiazdę powiesił, nagradzając trudy wielkiego pracownika i wyznawcy swego.

Stare przysłowie mówi: „Gdy na niedźwiedzia mała gałąź spadnie to mruczy, a cicho siedzi, gdy mu dogodzi potężna". Taką potężną pobici my Podolcy, to też nie dziw, że cicho siedzimy.

Nabrawszy jednak trochę otuchy po przeczytaniu korespondencyi z Podkamienia, pozwólcie, że choć słabem piórem, pobieżnie naszkicuję ten „grom straszny", jakim dotknęła naszą okolicę zeszłoroczna zima, która bodaj się nigdy nie wróciła!

Niemal do drugiej połowy stycznia śniegu nie było, utyskiwano, że sanie gdzieś pod szopą daremnie trupieszeją, bo użyć ich było można chyba tylko w lesie — natomiast trudna rada jeździć wozami. Mniejsza już o kości, nikt ich nie kupował, ale stelmach i kowal, to były dwa nieznośne indywidua, które swymi rachunkami wyciskały ostatki krwi kieszeniowej.

Po 20. stycznia, przy panującym ciągle północno-zachodnim wietrze, śniegi zaczęły padać i w krótkim czasie zasypały świat cały, a nie dając za wygraną, dosypywały do końca lutego i jeszcze dalej w marzec.

Daremnieś wyczekiwał zmiany wiatru, tego proroka zmian w atmosferze. Każdy nowy posłaniec Boreasza, czy to z południa czy z innej części świata, przynosił świeżą warstwę śniegu.

Co prawda, nie pierwsza to tak śnieżna zima, któraśmy przebyli; przebyła niejedną taką i zwierzyna, a przecież nie było klęsk tak strasznych. Więc jakiż powód? zwłaszcza, że do zbyt mroźnych ubiegłej zimy wcale zaliczyć nie możemy. Ciepłomierz rzadko na —14 stopni R. spadał, ale temperatura ta utrzymywała się prawie stale od połowy stycznia do połowy marca, a choć od czasu do czasu się nieco podnosiła, nie było jednak ani jednego dnia odwilży.

Zmrożony i lekko spiętrzony śnieg był trudny do przebycia dla ludzi, a dla zwierzyny stał się klęską i „strasznym gromem". Na karmie zwierzynie wcale nie zbywało, nawet w lasach, gdzie takowej nie poddają, mogła się łatwiej wyżywić, aniżeli każdej z zim poprzednich, bo nietylko gałęzie, ale kilkonasto-letnie młodniki całemi opłazami leżały nagięte ciężarem śniegu, dając zwierzynie możność ogryzania bujnych pędów wierzchołkowych. To też niemal wszystka zwierzyna przebywała stale w takich młodnikach, a choć karmy tam poddać nie było możności, zdawał się byt jej tem zabezpieczony. Przystęp do tryzubków na liniach i drogach był niemożliwy, gdyż linie i drogi znikły pod barykadą nagiętych drzew. Jedyne możliwe miejsce podania karmy stanowiła główna droga, a taka w każdym lesie była tylko jedna i to prowadząca do wyrębu, dokąd potrzebą drzewa zmuszeni ludziska z ciężką biedą się dobijali. Takiej drogi trzymała się także stale niejedna gromada sarn, i tu tylko możliwem było podawanie karmy. To też widząc i te gromadki zapewnione, czułeś się spokojnym.

Ale cóż dzieje? Dnia 16. lutego przyniesiono mi pierwsze dwie sarneczki, wprawdzie żyjące, ale ubezwładnione. Podniesiono je koło tryzubków. Umieściłem to biedactwo w kuchni; na nogach się utrzymać nie mogły, ani też podanego pokarmu przyjmować nie chciały. Nie pomogło zalewanie mlekiem — zginęły nazajutrz obie. Od tego dnia poczęto mi znosić niemal codzień nie jedno to dwoje sarn, bądź żywe, bądź nieżywe, a wszystkie znachodzono przeważnie koło karmy lub na wyrębie. W głowę zachodziłem, co może być przyczyną, wreszcie doszedłem do tego przypuszczenia, że podawana pasza jest zatrutą. Przypuszczenie to z każdym dniem wzmagało się we mnie. Badałem podawaną karmę, jednak najmniejszych śladów pleśni ani na koniczu, ani też na zielono skoszonej i wysuszonej lencie, którą także sarnom podawałem, dopatrzyć nie mogłem. Nadmienię, że tak konicz jak też i lenta w pogodny czas była skoszoną, wysuszoną, a złożona pod dachem doskonale się zakonserwowała.

Uważałem za niezbędne ująć sarnom podawanej paszy, a natomiast zastąpić ją czem można; dostarczałem tedy gałęzie z świeżo zrąbanych osik, dębów, grabin, jakie tylko dostać można było. Stadko sarn złożone z 17 sztuk odnalazłem w małym kawałku kultury sosnowej kilkunastoletniej. Biedactwo to żywiło się tylko gałęziami sosen, poprzeginanemi ciężarem śniegu, co im ogryzanie ich ułatwiało. A że i temu stadku przed kilku dopiero dniami poddałem paszę, podążyłem przekonać się, co z niemi się dzieje i by takowe uratować, zabrałem z sobą ludzi w celu uprzątnięcia rzekomo zatrutej paszy. Z 17 sztuk zastałem już tylko jedenaście; nieżyjących nie było, sądziłem przeto, że brakujących 6 sztuk odłączyło się. Widząc mnogość ogryzionych gałęzi sosnowych, zacząłem gałęzie sosny dostarczać także innym sarnom do tryzubków. Przy tej sposobności zaczęto mi przynosić bądź chore, bądź już nieżywe sarny i z sośniny, oraz wygrzebano z pod śniegu 3 sztuki, które dawniej poginęły i śniegiem przysypane były.

Strach mię napawał coraz większy, rozpacz mię ogarnęła — byłem przekonany, że Bóg wie w jaki sposób zatrutą paszą wytrułem wszystkie sarny. Nie mówiąc nikomu, co się u mnie w lesie dzieje, chciałem za wszelką cenę zapobiedz złemu, lecz nie widziałem sposobu.

Ująłem paszy sarnom, a przecież śmiertelność się nie zmniejszyła, i owszem była straszniejszą.

Z przynoszonych jeszcze żywych sarn założyłem formalny lazaret w domu, robiąc rozmaite doświadczenia. Gdy ginęły wniesione do kuchni, kazałem je umieszczać w wozowni, układając na rozścielonej słomie, podawałem paszę zalewaną mlekiem — i nie ma rady — wszystkie giną. Każdą niemal sekcyonuję, lecz prócz kompletnego wynędznienia, śladu innej choroby znaleść nie mogę.

Nie pamiętam już, przy której sztuce z rzędu, którą obielić kazałem, operator złamał przypadkowo piszczel tylnego badyla. To mnie zastanowiło, zwłaszcza, że ze złamanego piszczela wylała się przekrwiona ciecz. Kazałem złamać drugi piszczel i następnych kilka i we wszystkich znalazłem zamiast szpiku przekrwioną rzadką ciecz, która wylewała się jak woda. To naprowadziło mię na myśl, że sarny giną w skutek przemrożenia, a nie z powodu złej, lub zatrutej paszy. Otwierałem później u wielu padłych sarn piszczele i zawsze znachodziłem ten sam objaw. Znowu tedy zacząłem robić inne doświadczenia z przyniesionemi żywemi jeszcze sarnami; wkładałem badyle w zimną wodę, i trzymałem je tak dłuższy czas, to znowu operacyę tę powtarzałem od czasu do czasu, trzymałem je w kuchni, to znowu w lekko tylko ogrzanej izbie — wszelkie jednak zabiegi okazały się daremne — wszystkie ginęły. Jeden tylko kozioł żył dni kilkanaście, chodził po kuchni, przyjmował karmę — ale wreszcie i ten zginął.

Taki stan rzeczy był na placu karmy; co się działo po lesie, trudno wiedzieć, bo ani siły ani najlepsze chęci nie zdołały zwalczyć zasp śnieżnych. Dopiero gdy wiatry wiosenne nieprzebyty całun śnieżny stopiły, natrafiło się wszędzie na trupy sarn. Ocalała resztka jest tak małą, że długich lat potrzeba, by lasy podolskie roiły się znowu sarnami, tak jak to było przed ubiegłą zimą. A nie wystarczy na to, choćby pod każdym względem sprzyjająca rozmnoża i powstrzymanie się choćby przez więcej lat od strzelania kozłów — wszystko to za mało dle naszej okolicy — bo jest u nas ciężka zmora rodu sarniego, z którą już dawno okolicę naszą zaznajomić pragnę, a dziś uważam to za konieczne. Zmora ta nazywa się Rubin Biłguraj, i stale przebywa w miasteczku Probużnie, a od czasu do czasu nawidza lasy okoliczne i szle zagładę sarniemu rodowi.

Rubin nawiedza systematycznie każde mieszkanko gajowych, a że z sukcesem dla siebie, nie ma wątpliwości; handluje on sarnimi rogami, ich pieczystem i inną zwierzyną. O każdej porze zastaniesz u niego kilkadziesiąt par rogów sarnich — i każdy w okolicy wie, że sarniny lub zająca dostarcza Rubinek na zawołanie. Ja sam konsumowałem przy biesiadzie prażnikowej wyborny czomber sarni, dostarczony przez Rubinka na zawołanie po bardzo niskiej cenie. Słyszałem także od gajowego, iż ów Rubinek, zawadziwszy o węgły jego chaty, propozycyę swoją tak uzasadniał: „Mam ja gajowych, którzy sobie krowy za rogi kupują, a wam nietrza tego?" Nie daremnie też krąży ów żydek po lasach okolicznych, a że nieźle na tem wychodzi, niech posłuży i to za dowód, że niedawno temu chodził piechotą

z workiem na plecach, a dziś jeździ już wózkiem i wcale dobrym koniem, ma już własną chatę w Probużnie i koleją wysyła zwierzynę na targi w różne strony świata...

Tej zmorze należałoby koniecznie tamę położyć, a jest ku temu sposób, nie wymagający trudów; zaaplikujmy go tylko—a z pewnością odniesie pożądany skutek. Oto odbierzmy rusznice wszystkim gajowym, które są im wcale nie potrzebne, chyba tylko na to, aby czynić zadość naleganiom Rubinka.

Nie dajmy sposobności, a nie będzie złego. Wiemy nadto dobrze, jak taka zmora-żydek umie wyzyskać sytuacyę, jak obrazowo i przekonywująco do chłopa przemawia, a trapi dopóty, dopóki nie chwyci ofiary w swoje ręce. Nie zrazi się ani pierwszą ani dziesiątą odmowną odpowiedzią i przy każdej sposobności pilnuje swej sprawy i raz chwyconej ofiary. A wiemy o tem, że dla naszych gajowych grosz nie może być niepонętnym, i gdyby się znalazł człek niezwykłego hartu, niech go raz Rubinek zastanie w kłopotliwem położeniu, to już go będzie miał w swych szponach i nie wypuści go więcej. Będzie mu zadatkował pieniądze, dostarczy wódki, soli i innych artykułów niezbędnych dla chałupy i coraz lepiej będzie go wyzyskiwał. Taka ofiara Rubinka strzela naprzód wszystko, co mu pod rurę wlezie na granicy lasu, widząc w tem niezbyt wiele złego, lecz później bije wszędzie, byle tylko nasycić Rubinka i ulżyć własnym potrzebom. Najgorsze zaś to, że przy tem kłusownictwie oficyalnem nie wszystko strzelane pada na miejscu i dużo zwierzyny marnie z postrzelenia po lesie ginie. Kozioł jest w tem kłusownictwie najintratniejszy, bo prócz mięsa, płaci Rubinek za rogi 3 do 4 zł., a reszty zakopanej w lesie nikt nie wynajdzie.

Niepodobną jest rzeczą sprawdzić każdy strzał gajowego, zwłaszcza, jeżeli gajowi upoważnieni są do strzelania tak zwanych „drapieżników“. Zapytany, do czego strzelał, umie zawsze strzał wytłumaczyć, bo chociaż często bez skutku, strzela do kotów, psów, jastrzębi itd. Aż zazdrość bierze, iż człek nieraz całymi dniami chodzi i rzadko kiedy ma szczęście spotkać się z jastrzębiem — a gajowy ma je na zawołanie, gdy mu strzał wytłumaczyć przyjdzie. Chcąc zaś zamydlić oczy i nosem psim strzał udowodnić, zabija nieraz najniewinniejszego „bosego“ czy „łysego“ we wsi, dając tym tylko powód do sporów z chłopami i niechęci ich ku dworowi — i opowiada jeszcze obrazowo, jak bronił sarnę przez psa gonioną.

Nie chcę twierdzić, aby każdy gajowy był takim — są i poczciwi — lecz broń w ręku, sposobność i pokusa Rubinków, sprowadzają ich z drogi uczciwości.

Zeszłego lata wszedł do mnie do mieszkania żydek, pytając, czy niema co do sprzedania.

— Co chcesz kupić? — zapytałem.

— Może są skórki z lisa, kuny, zająca, sarnów?

— Nie mam — odpowiedziałem.

— Może są rogi? Ja duże dobrze zapłacę.

Ciarki przebiegły mi po ciele, gdym to usłyszał. Jaką dałem odpowiedź, nie pamiętam, lecz mówiłem bardzo prędko, bo również prędko znalazł się żyd za drzwiami.

W kilka tygodni potem giną mi z pomieszkania dwie pary rogów. Spostrzegłem i nie zaspałem sprawy; po nitce do kłębka doszedłem, że służąca dziewczyna skradła je i sprzedała temu samemu żydkowi za 2 zł. i że ją żyd do tej kradzieży kilka razy namawiał.

A czy to tylko u mnie zdarzył się fakt taki? W pewnem miejscu widzę parę rogów i na pierwszy rzut oka poznaję, że rogi te, jeżeli nie były moją własnością, to widziałem je w dobrze znanem miejscu. Wreszcie przypominam sobie, że rogi te znalezione były u mnie w lesie, niedaleko lasu pogranicznego. Ciało kozła było już nie do użytku, zabrałem tylko rogi, gdyż były bardzo piękne i duże, a co ważniejsze anormalne, bo lewy róg był prosty bez gałęzi, prawy zaś o trzech końcach, z których jeden był uszkodzony od śrutu. Rogi te darowałem, a chcąc się teraz upewnić, że to są te same, byłem w pomieszkaniu, dokąd się odemnie dostały i przepatrzywszy cały zbiór rogów, wzmiankowanej pary już tam nie znalazłem. Późniejszy ich właściciel objaśnił mnie, że nabył rogi od żyda, a jaką one drogą do żyda doszły, łatwo się domyślić. To rogi, wzięte z pomieszkania — ale co rogów z lasu do żyda się dostaje! Ktoby się chciał o tem przekonać, tego proszę do chałupy Rubina Biłguraja w Probużnie.

Lecz odszedłem może za daleko od rzeczy i znudziłem czytelnika. Przepraszam tedy i wracam do zimy zeszłorocznej zadając pytanie: — A co z resztą zwierzyny? Odpowiem, że możnaby jeszcze wytrzymać, gdyby i tu tak jak w szczęśliwym Podkamieniu, rzec można: „Ograniczmy naszą przyjemność na strzelaniu zajęcy i dzików“.

Oj! u nas inaczej! inaczej! Zające niemal ten sam „grom“ spotkał co i sarny; dużo szczątków z nich znachodziłem na wiosnę, zwłaszcza w gąszczach, szukając z psem słonek, i pomimo, że wiosna bardzo sprzyjała, twierdzę, że zajęcy obecnie jest mniej, niżeli w zimie pozostało. Twierdzenie to moje ziści się przy pierwszych polowaniach, a choć rozpowiadają w okolicy, że zajęcy jest dość, powtarzam swoje stanowczo, i daj Boże bym się omylił!

A co z dzikami?

Dziki u nas na Podolu, to rarytasy, które odrodziła przyroda by zdobiły lasy podolskie, a ludzie zbyt zaciętą odrazu wypowiedzieli im wojnę. Tępią je wszędzie o każdej porze, tępią je uprawnieni i nieuprawnieni, a czego oni nie zdziałali, to zima zeszłoroczna prawie dokonała.

W pierwszej połowie lutego, jak to po tropach, a raczej wyrzniętym w śniegu rowie poznać było można, przyszły tu dwa spore stadka dzików, przeszło 20 sztuk. Zeszły się w jednym miocie i stąd jedną hurmą przeszły w dział lasu „Kogutówka“. A że tuż pod lasem, z powodu braku robotnika i słót jesiennych, nie wykopano kilka morgów ziemniaków, pomyślałem sobie: — Aj, żeby to dziki dowiedziały się o tych ziemniakach! Drugiego dnia nie wyszły z miotu. Zaintrygowany tem objechałem od pola i sprawdziłem, że dziki były na polu, żerowały na ziemniakach i nazad w miot wróciły. Bądźcie sobie tu, ostatki rozbitków — pomyślałem w duszy — tu się wam nieźle dziać będzie.

Dłuższy czas trzymały się dziki w miejscu, ziemniaki stanowiły jedyny ich pokarm, a że na pole wcześnie z wieczora wychodziły, wybrałem się w towarzystwie, by obliczyć ile ich też będzie. Naliczyliśmy różnej wielkości sztuk 27. Jak powiedziałem, były to rozbitki całej okolicy, gdyż jak zię później dowiedziałem, nigdzie zresztą dzik nie znaczył swego tropu.

Byłem pewnym, że znalezione tu warunki bytu, spokój po ciągłych przedtem prześladowaniach, a nie mniej zaspy śnieżne zatrzymają tu gromadę aż do wiosny. Cóż się jednak dzieje? Nieszczęście zrządza, że przeprowadzają młocarnię parową z jednego folwarku na drugi, tuż obok miotu, w którym stale już dłuższy czas dziki się trzymały. Do transportu tego użyto 36 sztfik bydła pociągowego i tyleż mniej więcej naganiaczy biednej chodoby, która brnęła w śniegu, że niemal tylko grzbiety widać jej było. Hej! hej! hej! wrzeszczało trzydzieści kilka pysków aż las chodził,

a biedna chudoba co kilka kroków stawała i kładła się w śniegu. Dostateczne dam pojęcie o nieprzebytej drodze, jeżeli powiem, że chcąc przetransportować lokomobilę niespełna jeden kilometr drogi, zużyto na to całe trzy dni czasu i kilkadziesiąt sztuk bydła pociągowego.

Rozumie się, że tych trzydniowych krzyków nie mogły znieść dziki; wyszły z miotu, przeszły spory kawał i wyszły na przeciwległe pola. Nazajutrz rano przychodzi gajowy i mówi mi, że dziki wyszły z lasu na pola w kierunku nowo pozakładanych remiz i nie powróciły.

— Siadaj Wasylu na koń — mówię — one muszą być w remizach. Zajedź je od Iwankowa i napędź do lasu, a staraj się napędzić je w ten sam trop, którym wyszły. Bierz konia i wal, a niech cię Bóg broni, abyś dziki puścił do Iwankowa i Munkatówki.

Zniecierpliwiony wyczekiwałem Wasyla, chcę byłem pewny, że się dobrze sprawi. Ale czy dziki w remizach zastanie? W kilka godzin doczekałem się powrotu Wasyla na spędzonym i mokrym jak chluszcz koniu.

— A co, gdzie dziki? — zapytałem.

— Są, proszę pana.

— A gdzie?

— Już na Kogutówce wszystkie 27 sztuk.

— A gdzie były, w remizach?

— Były w remizach, ale nie zalegały, poszły aż pod pola Iwankowskie. Tam na skarbowem polu, przed tymi śniegami, wywieźli nawóz, i dziki całą noc w tym nawozie się borykały i tam się pokładły. Zobaczyłem z daleka, że się tam czernieją, więc zajechałem z przeciwnej strony, stanąłem od nich może na 50 kroków, widzę, że mnie zobaczyły, ale nie chcą wstawać. Zacząłem więc krzyczeć — powstawały wszystkie — ale zamiast uciekać, zbijają się w kupę i tak się patrzą, jakby na mnie uderzyć chciały. Krzyknąłem znowu i wreszcie zaczęły uciekać, ale biją w stronę Iwankowa. Zajechałem im drogę i z ciężką biedą zawróciłem, lecz znowu wzięły kierunek przeciwny od lasu. Zajeżdżałem tedy ciągle, aż koń prawie ustawał, i znowu zapędziłem je do gnoju. Nie chciały już stamtąd ruszyć — myślałem, że już ich tam zostawię. Stałem i dumam. Tymczasem koń odpoczął i dziki, dalej więc znowu gonić, krzyczeć, i napędzać! Wreszcie wyruszyły wprost do remiz, a ja wtenczas ich śladem za nimi. Wypędziłem je z remiz i wyszły ponad dół na drogę i drogą wróciły się prosto do gorzelni. Widzę, fura jedzie naprzeciw, a one ani myślą zawracać. Krzyczę, ażeby ich nie puścił. Zmiarkował się fornal, stanął, narobił krzyku i dziki zawróciły w las. Jechałem za nimi śladem aż do lasu i są już na Kogutówce z pewnością.

— Bój się Boga mój Wasylu! — wołam — a słyszysz jaki tam krzyk? Znać, że tej maszyny nie dowieźli wczoraj i znowu spłoszą dziki.

— Nie spłoszą — mówi Wasyl — one takie pomęczone, że już i krzyku bać się nie będą.

— Dobrze mój Wasylu, ale czut' świt wstaniesz, otropisz, a jeżeliby wyszły, weźmiesz konia i trzeba znowu za nimi pojechać. One muszą u nas przezimować. A teraz chodź, dostaniesz kieliszek wódki, boś się dobrze sprawił.

Na drugi dzień rano przychodzi Wasyl.

— A co? — zapytałem.

— Wyszły dziki, proszę pana, poniżej jak wczoraj, ale na polu ani śladu: w lesie znać trochę, ale na polu zawiało całkiem, ani wczorajszego, ani dzisiejszego rowu nie znać. Maszyny jeszcze nie dowieźli, już popędzili woły, to dziś będzie tam harmider i nie dadzą dzikom spokoju.

— Wszystko jedno, siadaj na konia i przypędź dziki do lasu, bo pójdą w Munkatowieckie.

Siadł mój Wasyl na konia i pojechał. Byłem pewny, że je przypędzi i strapiłem się niesłychanie, gdy powróciwszy zaraportował, że dzików nie ma.

— A gdzież są? — zawołałem.

— Nie wiem. Ani w remizach, ani na polu ich niema, żadnego śladu nigdzie, tylko tę ścieżkę w lesie znać trochę. One muszą być na Kogutówce: zapewne doszły do okopu i tym samym śladem wróciły nazad.

— A no, będziemy widzieli, czy jutro wyjdą na kartofle.

Nazajutrz niema dzików; tropię codziennie — niema i nie wracają. Ustały zawieje, posyłam Wasyla znowu w pole, ale daremnie — dzików niema i nikt nie wie gdzie są.

Upłynęło dni kilkanaście; zjawia się mój Wasyl, a było to w niedzielę popołudniu, i mówi:

— Proszę pana, dopiero co dziki wyszły z gąszczy na „Orszuli“ i poszły prosto na „Kogutówkę“. Ale co za dziwo, powiem panu, obszedłem teraz od pola i ścieżką do chałupy mojej aż tu, i nigdzie żadnego śladu, skąd dziki przyszły, a codzień przecież chodzę ścieżką do chałupy, i nigdy żadnego tropu nie widziałem. Skąd one się wzięły, nie mogę odgadnąć.

Zebrałem się i poszedłem. Obszedłem miot na około— żadnego tropu — prócz jednego co świeżutko z miotu prowadzi. Przyszedłem do tego przekonania, że dziki, wyszedłszy z „Kogutówki“ przed kilkunastu dniami, weszły z pola w miot na „Orszuli“ i tam cały czas przesiedziały. Ale czem się żywiły?

Na drugi dzień rano sprawdziłem, że dziki były na polu kartoflami zasadzonem, tam żerowały i poszły w znany miot, z którego nie wyszły.

— Proszę pana — zauważył Wasyl — co się tam czernieje na polu, akurat jak dziki.

— Ej — mówię — wyborykali tam ziemię; przecież widzisz, że najświeższy trop z pola do lasu. No, lecz wiesz co Wasylu, dojechać tam niepodobna, ale tropem dojdziemy. Pójdźmy tedy a przekonamy się.

— Ja mówię, że to dziki — prawi Wasyl swoje — akurat tak wygląda jak te, co widziałem na polu.

— Ale to małe — zauważyłem.

— Takie same były na polu — prawi Wasyl — dopiero gdy dojechałem do nich, jakby z pod ziemi powyłaziły; jedne na drugich leżały, a widać było tylko te, co na wierzchu były.

Idąc tropem dotarliśmy po kilkorazowem wypoczynku tak blisko, że nie było już wątpliwości, iż mamy dzika przed sobą. Stanęliśmy o jakie 30 kroków, ale dzik się nie rusza; mówię do Wasyla:

— Może on nie żyje?

— Gdzietam panie! żyje! — odpowiada Wasyl.

— No, to zachodźmy go — ja w prawo a ty w lewo, ażeby go napędzić do lasu. — Okrążając dzika, widzieliśmy, że się poruszał, a więc żyje. Okrążywszy, zbliżyliśmy się doń na kilkanaście kroków. Krzyknąłem. Dzik się podnosi i zwraca się ku nam, ale widzę, że chwieje się na nogach. Zwrócił się od nas, chce uchodzić tropem, ale co kilka kroków zrobi, to stanie, to pada, zwleka się i znowu chce uchodzić. Widząc to, dotarłem z Wasylem do dzika bardzo blisko. Zwrócił się do nas z widocznem zamiarem uderzenia na nas, ale zabrakło mu sił — padł na tylne nogi i w pozycyi siedzącej patrzy na nas.

— Wiesz ty co Wasylu — mówię — weźmiemy go na sanie i zawieziemy do domu; tam go odkarmimy. Dawaj twój rzemień!

Zrobiłem z rzemienia pętlicę, by dzikowi zarzucić na ryj poza kły i w ten sposób go ubezwładnić. Długi czas borykaliśmy się — dzik w ostatnich wysiłkach bronił przystępu do siebie, aż wreszcie znalazł się znowu w pozycyi siedzącej, gwizdem do mnie a tyłem do Wasyla.

— Niech pan na niego nie naciera! — mówi Wasyl — ja skoczę mu na grzbiet, złapię za uszy, przytrzymam, a pan mu wtenczas pętlicę na gwizd zarzuci.

— Ano dobrze, próbuj!

Wysapawszy się Wasyl, nabrał animuszu, i doprowadził do skutku swój zamiar. Skoczył na dzika w jednej chwili, ujął go rękoma za uszy, a ja wtedy pętlicą ścisnąłem mu ryj powyżej kłów. Biedaczysko słabo się tylko szamotał. Trudno było doprowadzić go do sani, bo ciągle padał, wreszcie z ciężką biedą i to nam się udało. Wsadziliśmy dzika na sanie i zawieźliśmy do domu. Tu ulokowałem go w chlewku, usłanym słomą i gościnność tę przyjął bez wielkiego szamotania, a tak był osłabł, że stać już nie mógł. Nasypałem mu pod ryj kukurudzy — nie chciał jeść; kazałem ugotować ciepłej kuleszy — i tej jeść nie chciał, a raczej nie mógł. Zrobiłem z tej kuleszy rzadki czyr z mlekiem i przy pomocy ludzi zalewałem go. Nie szło to łatwo, jednak udało się wprowadzić mu trochę pokarmu do przełyku. Powtórzywszy operacyę tę w dzień i na noc, byłem pewny, że dzik się posilił, ogrzał i sam zabierze się do jedzenia. Nazajutrz otwieram drzwi pomału, — patrzę — a dzik już nie żyje. Był to dwulatek „wycinek“ okropnie wynędzniały — istny szkielet. Przy obielaniu go nie znaleziono żadnego śladu postrzału lub innego uszkodzenia; zginął widocznie wycieńczony głodem.

Dok. nast.

KORESPONDENCYE.

Z Lisowic w listopadzie 1895.

Gwarno, wesoło, ba nawet huczno było na tegorocznem jesiennem polowaniu — i to, nie tak w lesie, rezultat bowiem nic nadzwyczajnego nie wykazał, jak w tradycyjnym, starym domku, w którym przed 24 laty drużyna Towarzystwa Lisowickiego swoje rozbiła namioty. I nic dziwnego, iż srebrne wesele z Lisowicką knieją obchodzono uroczyście: 24 lat trwania towarzystwa myśliwskiego, w jednej i tej samej kniei, w tym samym ustroju, statutach, rygorze i karności — z tymi samymi nawet członkami — to ma swoje znaczenie. Najdroższą tych już upłynionych czterech sześcioletnich okresów, dla Lisowczyków pamiątką, to ogłoszenie drukiem protokołów polowań od chwili założenia Towarzystwa. Myśliwskie te „Kroniki“ stanowić będą ciekawy w tym rodzaju przyczynek do literatury łowieckiej; wydane tylko w stu egzemplarzach, przecież sądzę, zdołają dotrzeć do szerszego koła czytelników myśliwskich, przeto też o nich na tem miejscu wzmiankę czynię.

Z wygaśnięciem czwartego sześciolecia żegnają się zarazem Lisowczycy z dawną rezydencyą myśliwską, w której progi, lat temu 24, pierwsi wkroczyli Lisowczycy. Wszystko ma swój koniec na świecie, a więc i ta zgrzybiała chatyna nie dość już silnie w swych trzyma się posadach, by zapewnić mieszkańcom schronienie. Lisowczycy muszą się oglądnąć za nowym przytułkiem, ale starą chatkę, tyloletniego ich tryumfów świadka, z prawdziwym żegnają żalem. Wyraz tego żalu daje oto jeden z założycieli Towarzystwa, prawdziwy Nestor-Lisowczyk, hr. Leopold Starzeński. Z upoważnienia jego przytaczam na tem miejscu owo „Pożegnanie“, w tem przeświadczeniu, iż wiersz ten, pełen pięknych i rzewnych myśli, nietylko dla Lisowczyków tak był miłym, ale że i szersze grono czytelników „Łowca“ z radością powita znowu rymy tak już dawno milczącego poety.

Pożegnanie z naszą Lisowicką chatką.

Żegnaj chatko, skromna, miła!
Patrz, jak czas ten leci!
Tyś ćwierć wieku nas gościła,
Jak matka swe dzieci!

Pomnisz owych gości z dali?
Tę łowców drużynę?
Oni do twych drzwi pukali
Prosząc o gościnę.

Tyś do siebie ich zebrała,
Jak pszczółka do ula,
W naszym wodzu tyś poznała
Polskich łowców króla.

Bo ty w naszych lasach wzrosła,
Polka urodzona,
W tobie dusza jest wyniosła,
Choć z Niemców spłodzona.

Tyś nam rzekła: iż te lasy
Takie skarby kryją,
Że łowieckie polskie czasy
W nich kiedyś odżyją.

Więc niech się nasz duch wysili,
Tak nam każą nieba:
To, co Niemcy splugawili,
Nam naprawić trzeba.

Czyśmy wszystko to spełnili?
To jeszcze zagadką —
Zakonowi wierni byli?
Ty odpowiedz — chatko!

Przez ćwierć wieku tyś badała
Łowców naszych dzieje,
Razem z nami podzielała
Łowieckie koleje.

I wspomnienie łowczych czynów
Śród tych murów lata —
Każdy listek nasz wawrzynów
W twe ściany się wplata.

I już dzisiaj tyś zgrzybiała,
Chatko nasza sławna,
Więc losowi cię oddała
Twa drużyna dawna.

Z hufców, które cię witały,
Z drużyny wesołej,
Dziś już tylko pozostały
W mogiłach popioły.

Ci snem wiecznym gdzieś tam legli
Na swoim zagonie,
I polować już pobiegli
Na Huberta błonie.

Mała resztka pozostała...
Jest ich kilku przecie —
Stara to drużyna cała —
Rozbitki po świecie.

Tyś staruszko tak zmarniała
Z tęsknoty za niemi,
Wątła, zziębła i zgrzybiała,
Chylisz się ku ziemi.

Ogień w tobie rozpalany
Już cię nie ogrzeje,
Przez zbutwiałe twoje ściany
Zimny wicher wieje.

Nie zagoszczą już w twe mury
Lisowieccy piewcy —
I nie zagrzmią już tu chóry:
„Wędrowali szewcy“!

Próżna walka! Niema rady!
Już ta chwila blisko,
Że z nas będą stare dziady —
Z ciebie rumowisko.

Duchy tamtych... w noc jesienną,
Gdy z swych mogił wstaną,
Już drużynę naszę senną
Tutaj nie zostaną.

Jakby dzieci u swej matki,
Gdy się tutaj zjawią,
Jeszcze gruzy swojej chatki
Tu pobłogosławią.

Tak wypadło już z wyroku!
Wszystko w ręku Boga!
Z sercem w żalu — ze łzą w oku —
Żegnaj — chatko droga!

Polowanie jesienne rozpoczęło się dość późno, bo dnia 21 października. W tem spóźnieniu jest może powód, iż tak mało słonek zginęło — widocznie polowano już po ich jesiennym ciągu; z drugiej jednak strony, według raportów straży leśnej, tegoroczny ciąg był nadzwyczaj wczesny t. j. między 1 a 10. października, trudno tedy taki ciąg przychwycić. Ten wczesny termin zaiste nie łatwo wytłumaczyć w tak długiej i pięknej jesieni; barometry słoneczne, tak zwykle dokładne, tym razem na bezdroża długodzióby zaprowadziły, a nawet kazały im zapomnieć o ich kalendarzowych zwykłych terminach. Dzików również nie wiele knieja nam ukazała, a to być może z powodu, iż w wysokich górach bukwa obficie zrodziła, żołędzi zaś, która najsilniej dziki w niższe regiony przyciągać zwykła, brak zupełny. Lisy zawiodły nasze oczekiwania — zdaje się, iż za myszami szukając, udały się do okolic tym gryzoniem nawiedzonych. Przyjemną niespodzianką było skonstatowanie, iż stan sarn bynajmniej nie podupadł po tej strasznej zimie— przecież jednak w przezorności swej postanowili Lisowczycy na zimowem polowaniu strzelać tylko kulami do rogaczy.

Wynik dziewięciodniowych łowów jesiennych przedstawia się jak następuje: dzików 4., rogaczy 17., lisów 29., zajęcy 38., cietrzewi 1, jastrząbków 23., słonek 18, sów 8., puchacz 1 — razem sztuk 139.

A. K. W.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Łańcucie, dobrach ordynackich hr. Romana Potockiego, na polowaniach polnych ubito: w rewirze Betulin d. 6. listopada w 8 strzelb 238 bażantów, 264 zajęcy i 3 kuropatwy; w rewirze Lubartów d. 7. listopada w 9 strzelb 225 bażantów, 119 zajęcy, 2 kuropatwy; w rewirze Korczak d. 8. listopada w 8 strzelb 368 bażantów, 121 zajęcy i 2 kuropatwy; w rewirze Romanówka d. 11. listopada w 7 strzelb 290 bażantów i 184 zajęcy — razem 1121 bażantów, 688 zajęcy i 7 kuropatw. Zauważyć należy, że każdego dnia polowano tylko 3 do 4 godzin. Pierwszy i ostatni dzień polowania były pogodne, 7. i 8. listopada padał deszcz. W polowaniu brali udział; Książę Turn-Taxis, Ks. Antoni Radziwiłł, Ks. Andrzej Lubomirski, Ks. Jerzy Radziwił, hr. August Potocki, hr. Czernin, hr. Wodzicki, hr. Adam Tarnowski, hr. St. Zamoyski i hr. Roman Potocki.

— W Lipniku u pp. Łastowieckich miało się w dniu 8. listopada odbyć doroczne polowanie. Na dzień przedtem zjechali się sproszeni goście, z bliska i z daleka. Obszerne salony Lipnickiego pałacu roiły się od nadobnych cór wschodniej i zachodniej Galicyi, a wszyscy oczekiwali jakiejś niespodzianki, gdyż jeden z salonów był zasłonięty kotarą. O 8 wieczór podniesiono kotarę i oczom naszym przedstawił się śliczny teatrzyk, na którym z wielką werwą i artyzmem odegrali amatorowie komedyę Fredry: „Posażna jedynaczka“. Była to prawdziwa uczta duchowa dla nas skłopotanych rolników. Po przedstawieniu bawiono się ochoczo do późnej nocy. Nazajutrz rano trąbka myśliwska zbudziła zaspanych nemrodów: czas do lasu!

Pomimo niesprzyjającej pory, ubito 48 zajęcy, 5 lisów i 4 rogacze. Zwierzyna w Lipniku jest bardzo szanowaną, bo sam gospodarz zapalony myśliwy. Nigdy tu sarn nie widziano, a teraz rudel z 40 do 50 sztuk nic dziwnego. Dzięki przeto przezacnej gospodyni za ucztę prawdziwie staropolską a gospodarzowi za ślicznie prowadzone polowanie. Żal tylko wielki, że to już minęło.

— W Sieteszy, majątku p. Higeniusza Łastowieckiego, polowaliśmy dnia 9. listopada. Ubito 26 zajęcy, 3 lisy i 3 rogcze. Deszcz znów zrobił nam niemiłą niespodziankę.

— W Hadlach, majątku p. Piotra Łastowieckiego, ubito na polowaniu dnia 11 listopada: 17 zajęcy, 1 lisa i 1 rogacza. Tak w Sieteszy jak w Hadlach przyjmowano gości prawdziwie z staropolską serdecznością, za co przesyłamy najszczersze dzięki od tych, którzy najmilsze wspomnienia z polowań tych wynieśli.

S. Zalasiński.

— W Narcie, majętności p. Stanisława Dolańskiego, polowano w dniach 22., 23. i 24. października b. r. i ubito w 14 strzelb 23 rogaczy, 84 zajęcy, 16 lisów, 3 słonki, 2 kuropatwy i (w suchym lesie) jedną wydrę.

Polujemy w tym rozległym lesie co dwa lata. Zaznaczyć należy, że stan sarn przed ośmiu laty bardzo słaby, dzisiaj dzięki umiejętnej opiece gospodarza znacznie się podniósł i stopniowo dochodzi do świetnych rezultatów. Wycieczka na to jesienne polowanie, do tego znakomicie urządzone, obok tradycyjnej gościnności gospodarza, jest jedną z najmilszych dla towarzyszy.

M. J.

— W rewirze Tyczyńskim, po śmierci nieodżałowanego śp. Ludwika hr. Wodzickiego, poluje zarząd dóbr pod kierunkiem dyrektora p. Juliana Stasieniewicza. Polowania te, słynne z pięknego i różnorodnego zwierzostanu, a od dawna racyonalnie przez właściciela prowadzone, nie traciły na swym uroku, gdyż zarząd tych dóbr równie starannie przestrzega wszelkich praw myśliwskich i trzyma się ściśle systemu, zaprowadzonego przez ś. p. hr. Wodzickiego. Z początkiem listopada polowano w 8 strzelb w niewielkim rewirze kielnarowskim i ubito 7 rogaczy, 46 zajęcy, lisa i dwie słonki.

Nie do uwierzenia, a przecież prawdziwe, że od jednego strzału p. Stefana Jabłońskiego padły odrazu dwa piękne rogacze.

M. J.

— W Przylasku Hermanowskim (rewir Tyczyński) polowaliśmy dnia 20 listopada w 8 strzelb: zostało na rozkładzie: 8 rogaczy, 49 zajęcy, 4 lisy, 3 bażanty i słonka. Brano 12 miotów w obszarze 250 morgów lasu liściastego.

M. J.

— W Hoszanach u. p. Stefana Janki, odbyło się dnia 9. listopada polowanie z całym doborem zwykłych w Hoszanach akcesoryów, które pobyt tamże i łowy czynią tyle miłemi i upragnionemi. Rezultatem tych iście królewskich łowów było 21 lisów, mówię wyraźnie dwadzieścia jeden, prócz tego 28 zajęcy i 5 kozłów. Polowano w 15 strzelb. Wobec tak świetnego rezultatu dalsze szczegóły byłyby chyba zbyteczne.

A. P.

— W Czyszkach u hr. Maryana Łosia, polowaliśmy dnia 7. listopada, wśród najstraszniejszej pogody i iście dylywialnego deszczu, w dziewięć strzelb. Mimo fatalnej aury i zdrady, jakiej się dopuściło trzech towarzyszy (*nomina sunt odiosa*) opuszczając nas od śniadania w ucieczce przed deszczem — ubiliśmy 7 kozłów, 1 lisa i 12 zajączków. Jako dowód bogactwa kniei przytoczę fakt, żeśmy w tym dniu strzelali do dwudziestu i dwóch kozłów. Również dziki były w dwóch miotach, wyszły jednak bez strzału.

A. P.

Z Królestwa polskiego.

— W dobrach Magdalenka i Lesznowola, w pow. błońskim u p. Bagniewskiego, odbyło się w dniu 20. października polowanie w 16 strzelb, na którem padło 114 zajęcy i 16 kuropatw.

— W Łosiu u p. E. Mysyrowicza (pow. warszawski), w dniu 11. listopada w 5 strzelb zabito 4 rogaczy i 35 zajęcy.

Z W. Księstwa Poznańskiego.

— W Przysiece, majętności p. Zygmunta Kurnatowskiego, na polowaniu, które się odbyło d. 19. listopada przy bardzo mglistem powietrzu w dziewięć strzelb, ubito: 370 zajęcy, 75 bażantów i 70 królików.

KRONIKA.

Kalendarz łowiecko-rybacki i leśniczy na rok 1896, wydany staraniem redakcyi „Łowca“, opuści niebawem prasę i będzie po cenie 1 zł. do nabycia. Bogaty co do treści fachowej, jak poprzednie roczniki tego kalendarza, wydany wytwornie w formacie kieszonkowym i ozdobnie oprawny, powinien on stać się nieodłącznym towarzyszem każdego myśliwego. Idąc za głosem czytelników „Łowca“, podjęła się Redakcya tego wydawnictwa, połączonego zresztą z ofiarami, aby tylko żądaniu przyjaciół naszego pisma uczynić zadość. Członkowie gal. Towarzystwa łowieckiego i prenumeratorowie „Łowca“ mogą wraz z należytością na pismo przysyłać należytość 1 zł. na kalendarz, który im franco zostanie przesłany.

Dzielna łowczyni. *Budapesti Hirlap* donosi: Żona nadżupana z Arvaer, Jerzego Szmerecsanyi, oddająca się namiętnie polowaniu, miała niedawno temu szczególne spotkanie z mysiem w Polhorze, na pograniczu galicyjskiem. Na polowaniu z nagonką zajmowoła stanowisko odosobnione. Wtem spostrzega wychodzącego z gęstwiny ogromnego niedźwiedzia. Choć strzelba była nabita śrutem, śmiała łowczyni daje z niej ognia na odległość dwudziestu kroków do niedźwiedzia. Myś otrzymawszy lekki postrzał, zbliża się rozwścieczony. Ale pani Szmerecsanyi nie traci krwi zimnej; gdy niedźwiedź podszedł na odległość trzech kroków, strzela powtórnie. Cały nabój trafił niedźwiedzia w kark i zwierz padł martwy u stóp dzielnej łowczyni. Niedźwiedź miał 2 metry 4 centymetry długości.

Szczególny wypadek zdarzył się w północnej Ameryce, w lasach niedaleko Montpelier, w Stanie Indiana. Dwaj myśliwi, Andrew Casis i William Grose, polowali na niedźwiedzie. W chwili odpoczynku roznieciil ogień w lesie, gdy wtem całe to miejsce, na którem spoczywali, zostało z szaloną siłą wyrzucone w powietrze. Drzewa sąsiednie wyrwało z korzeniami, obu zaś myśliwych rozszarpało na tysiące kawałków, które następnie na gałęziach drzew poznajdywano. Śledztwo wykazało, że w ziemi pod miejscem, na którem nieszczęśliwi roznieciili ogień, było zakopanych kilka puszek z nitrogliceryną i one to spowodowały wybuch. Kto je tam zakopał, pozostanie tajemnicą. W pobliżu nie ma żadnej fabryki ani magazynu środków wybuchowych.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.